

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 196.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 27 czerwca 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

TREŚĆ NUMERU.

Od redakcyi. — Dzieła Wita Stwosza (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Na skon dziewczęcia, wiersz. — Zakłady żeglugi parowej na solcu w Warszawie (z dwoma drzeworytami). — Zarys wykładu geografii. — Świadectwo nieboszczyka, ballada (z drzeworytem). — Kościół katedralny w Wilnie (dokończenie). — Jarema (dokończenie). — Przegląd polityki zagranicznej. — Szachy. — Rebus.

Stwosz, ur. w Krakowie 1447, † w Norymberdze 1533 r., znany z licznych prac swoich w Polsce, Węgrzech,

Niemczech, a nawet i w Portugalii. Niektóre prace jego udowodnione są przez współczesne dokumenta,

OD REDAKCYI.

Z powodu trudnych do usunięcia przeszkód materyalnych, spis rzeczy zawartych w tomie VII, oraz karta tytułowa, zamiast do dzisiejszego, dołączone zostaną dopiero do numeru następnego.

DZIELA

WITA STWOSZA

oznaczone monogramami.

Artyści do końca piętnastego wieku rzadko umieszczali przy swoich dziełach nazwiska swoje, już to przez skromność artystyczną, już przez pokorę religijną. Zwłaszcza przy utworach przeznaczonych do kościołów, kładziono tylko pewne przyjęte znaki czyli monogramy, i z tej to przyczyny wiele imion dawniejszych znakomitych artystów zaginęło zupełnie, a znanych tylko ze swych znaków nazwano monogramistami.

Jednym z tych artystów jest sławny Wit



Stwosz, a nawet i w Portugalii. Niektóre prace jego udowodnione są przez współczesne dokumenta, inne znawcy sami mu przyznali, lub zaprzeczyli. Przy niektórych najautentyczniejszych dziełach jego, jak np. przy sławnym maryackim oltarzu w Krakowie i przy wieńcu różanym ze Zwiastowaniem u św. Wawrzyńca w Norymberdze, nie znajduje się żadne oznaczenie ani podpis; przy innych znaleźć można monogramy jego. Dla rzadkości więc zamierzam wynotować tu znane mi dzieła jego oznaczone monogramami.

Najdokładniejszy monogram z podpisem mistrza znajduje się na sławnym grobowcu króla Kazimierza Jagiellończyka w Krakowie, wykutym z czerwonego porfiru.

EIT & STVOS
1492^(*)

Dzieło to również jest znakomitą co do utworu, jak i wykończenia artystycznego.

Inne dzieło z podobnym znakiem i datą 1482, bez imienia artysty, odkrył niedawno znakomity badacz starożytności p. Józef Lepkowski. Jest to pomnik Zbigniewa Oleśnickiego w Gnieźnie.

Z późniejszych dzieł Wita Stwosza w Niemczech wykonanych, odznacza się w kościele Panny Maryi w Bambergu oltarz szafiasty gotycki ze skrzydłami,

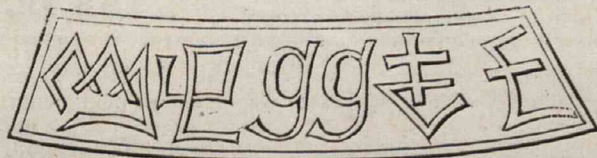
(1) W pierwszej głosce zapewne połączone jest F i E t. j. Feit (Wit.)

gdzie figury naturalnej wielkości, z drzewa bez malowania są umieszczone. W środkowej rzeźbie, wysokości stóp 11 cali 9, a szerokiej stóp 9 cali 11, przedstawione jest uwielbienie pasterzy, na drzwiach zaś ołtarza. Ucieszka do Egiptu, adoracja św. trzech królów, narodzenie i ofiarowanie w świątyni. Na zworniku znajduje się rok 1523 i monogram.



Najlichniesze dzieła Wita Stwosza znajdują się w Norymberdze, i zdziwiłem się że na żadnym dotąd ani napisu, ani znaku wynaleźć nie można było. Przypatrując się rzeźbie, znajdującej się w chórze kościoła św. Sebaldy, zdawało mi się że poznaję dzieło naszego artysty, lubo mnie zapewniano, że ta praca oddawna za arcydzieło Adama Krafta (ur. 1429 † 1507) uważaną była, a to według świadectwa współczesnego mu autora Jana Neudörfera. Jednakże przekonałem się że się nie omyliłem, bo znalazłem nawet monogram Stwosza, dotąd nieznan w Norymberdze. Umieściłem tę wiadomość w organie muzeum archeologicznego w Norymberdze, (1) które to moje odkrycie po bliższym rozpatrzeniu się potwierdzili uczeni badacze, dyrektor muzeum baron Aufses, Dr. Ernest Förster i Dr. A. Eue.

Plaskorzeźba ta z ciosu, 15 stóp 12 cali szeroka, a 5 stóp 6 cali wysoka, w trzech oddziałach jedną całość stanowiąca, przedstawia wieczerzę Pańską, ogród oliwny i pocalunek Judasza. Tę ostatnią rzeźbę umieszczamy w załączonym drzeworycie. W niej z przodu dość wydatnie występuje postać zbrojnego rycerza w stroju wschodnim. Na pochwie jego karabeli, jest napis fantastyczny, niby wschodni, na końcu którego znajduje się monogram tu umieszczony.



Na dwóch rogach rzeźb znajdują się małe figury klęczące, wyobrażające fundatora tegoż dzieła, z synami, żoną i córkami, oraz herbem familijnym.

Rzeźba ta wmurowana jest pod wielkim oknem malowanym r. 1515 dla margrabiów brandenburgskich przez Wita Hirschvogla starszego, z postaciami tychże, a między nimi także Zofia córka Kaźmirza Jagiellończyka, zmarła 1513 r., małżonka Fryderyka brandenburgskiego. Współczesny Neudörfer dokładnie miejscowość tego okna opisuje i wspomina także o wieczerzy Pańskiej A. Krafta w tym kościele, lecz w innym miejscu umieszczonej, więc zapewne nie o powyższych trzech rzeźbach razem połączonych, a z tych to może powodów mylnie je dotąd Kraftowi przypisywano.

Tenże Neudörfer wspomina, że Wit Stwosz z Krakowa przybył do Norymbergi r. 1500, był rzeźbiarzem, sztylem i malarzem. Prace jego pędziła nie są nam znane; sztylechy noszą monogram; niektóre datowane są z r. 1492 w czasie pobytu jego w Krakowie. Przytaczam je dla rzadkości.

1. Kapitel gotycki ozdobny w liście, sztylech mały.
2. Święta dziewica w całej postaci, z czółkiem czyli koroną na głowie, trzymająca w ręku zapaloną gromnicę, sztylech średniej wielkości.
3. Matka Boska z dziećmiem w całej postaci, trzymająca w prawym ręku jabłko—wielkość średnia.
4. Matka Boska siedząca pod baldachinem w oknie, sztylech mały.
5. Ścięcie klęczącej św. Katarzyny, za nią stoi oprawa, z tyłu skała w kształcie bałwana i kolo młyńskie, sztylech mały.
6. Ścięcie klęczącego starca męczennika, z zawiązanymi oczyma, który ma plecy obnażone, sztylech mały.
7. Cudzołożnica klęcząca przed Chrystusem, kompozycja większa, z dziesięciu figur złożona.
8. Marya całuje zwłoki Chrystusa, za nią św. Jan z koroną cierniową.
9. Marya w komnacie sklepionej, szyje sukienkę dla dziecka u nóg jej siedzącego; w oknie św. Józef przewierca deskę, sztylech większy.
10. Wskrzeszenie Łazarza, utwór z 14 figur, z przodu klęcząca kobieta, grabarz i rycerz, którego postać i uzbrojenie zupełnie przypomina postać zbrojnego rycerza w rzeźbie wyżej opisanego.

Dziesięć tych rzadkich sztylechów, znajduje się w kosztownym zbiorze rycin w Monachium, a trzy ostatnie także w zbiorze drezdeńskim.

Na zakończenie opisu niektórych dzieł Stwosza,

wspomnieć muszę że portret jego z drzewa wyciosany i kolorowany, znajduje się w kaplicy cmentarza św. Jana w Norymberdze, przy wyobrażeniu zmartwychwstania Chrystusa; postać zaś u jednego wspornika pod wschodami organów w kościele św. Wawrzyńca tamże, w którym właśnie znajdują się najcenniejsze utwory Stwosza, zapewne przedstawia syna jego Stanisława, rzeźbiarza przybyłego z Krakowa r. 1527 do Norymbergi, gdzie ojcu pomagał i przed nim jeszcze umarł 1530 r. Portret ten z kamienia wyciosany, w pół postaci, z młotem w rękę, twarzy średniego wieku, typu polskiego, z wąsem dużym; czapka długa, na lewe ucho zwieszona, głowę mu pokrywa.

Aleksander Lesser.

Kronika tygodniowa.

Dotychczas jeszcze Francuzi nie potrafili się nauczyć geografii polskiej. A nie mówimy tu wcale o prywatnych, bo mniejsza o to, dla nich dość byłoby wiedzieli gdzie Bordeaux albo Rouen leży, aż nadto im to wystarcza. Ależ książki, ależ pisma peryodyczne, redagowane przez ludzi, których obowiązkowe wykształcenie powinno uchronić od takich błędów grubą niewiadomością wykazujących, za każdym razem gdy uczynią wzmiankę o naszym kraju, muszą o coś się potknąć. Niedawno jeszcze Le Monde Illustré białowieską puszcę przeniósł pod Kraków i Ojców w niej pomieścił. „Już od samego Ojcowia i Pieskowej Skaly, pisze autor artykułu, daje się uczuć odrębna fizyognomia tej litewskiej okolicy. Puszcza niedaleko, widać to po drzewach, po wawozach, po całym porzeczku kraju“.... Zaraz więc przeskakuje do opisu puszczy i mieszkających w niej żubrów. Już to prawdziwe nieszczęście, kiedy się dotkna obydwój naszej geografii i historii. Niemcy fałszują ją czasem z umysłu, Francuzi z niewiadomości. Najmniej w tym względzie błędów dopuszczają się Anglicy, jakkolwiek najbardziej oddaleni od nas i najrzadsze z nami miowiący stosunki. Ale Anglicy, to naród sumienny; pisząc i mówiąc o czym, pragną widzieć i znać. A jednak i u nich czasem zdarzają się śmieszne pomyłki. Przytoczymy jedną z nich.

Jak wiadomo, około Bożego Narodzenia wychodzi w Anglii mnóstwo małych powiastek, tak zwanych wigiliowych. Są one po większej części fantastyczne, a głównie dla młodzieży przeznaczone. Ale najlepsi autorowie piszą te powiastki i niejedni zrobili sobie rozgłos niemi.

Owóż, wystawcie sobie nasze zdziwienie, kiedy przed parą laty pomiędzy temi powiastkami przeczytaliśmy legendę o Twardowskim, na krój angielski przekształconą. Sumienny jednak autor, przyznaje się do naśladowania, ale powiada że powiastkę swoją wziął z niemieckiego. I w istocie Twardowski występuje tam jako Czech, dokazuje w Pradze, w Wiedniu i t. d. Nazwisko jednak pozostało i główne fakta te same, bo ich ani przeróbka niemiecka, ani naśladowanie angielskie nie zdołały do szczętu przekształcić. Twardowski wyprawia dziwy po swojemu, tłucze garnki żonie, jeździ na kogucie i nareszcie dostaje się diabłu w szpony.

Ale cóż się tu dziwić? Czyliż nie czytaliśmy raz powiastki tłumaczonej z niemieckiego na polski język, która pierwotkowo z polskiego na niemiecki przerobiona była? Niemiec nie wskazał autora, a tłumacz, dobra dusza, dopatrzywszy tam tła polskiego, pomyślał że to będzie zajmowało współzomków i zubożył nanowo piśmiennictwo nasze tym skarbem niedawno mu wydartym. Tylko naturalnie na tym podwójnym przerobieniu straciła powieść niemało.

Cudzoziemy jednak, a szczególnie Francuzi, mogli śmiało innym zarzutem na przytoczony tu przez nas odpowiedzieć. Cóż bo to za pałaszowe sądy w piśmie naszych o ich literaturze! Rozpoczęło się to od kilku lat i idzie ciągle, systematycznie. Jakaś niesprawiedliwiona pogarda, jakieś sądenie z góry, jakieś traktowanie na lekko autorów i dzieł ich, a wieczna piosnka o gaśnięciu ducha na Zachodzie. Przekonany jestem że żaden z wydających te Minosowskie dekreta, nie czytał dzieł o których mówi, bo inaczej czyżby mógł tak mówić o nich? „Dumas, wyczerpawszy się do dna, (mówi jedno z pism naszych), wziął się do tłumaczenia dzieł W. Scotta.“ Dumas zabrał się do pracy, bo mu się tak podobało, bo zapragnął zubożyć piśmiennictwo francuzkie, *dobrem* tłumaczeniem dzieł znakomitego angielskiego powieściopisarza; ale daj Boże ażebyśmy mieli autorów z taką *resztką* fantazyi i sztuki pisarskiej, jakie jeszcze Dumas posiada. Toż samo pismo o Pamiętnikach tego autora

powiada, że wychodzą niepostrzeżone, nikt ich nie czyta, nikt się nie troszczy o nie. Pamiętniki te wychodzą w drugim wydaniu. Po raz pierwszy ukazały się dziesięć lat temu i chciwie rozczytane zostały. I dzisiaj wydanie złożone z ośmiu czy dziesięciu tysięcy egzemplarzy, sprzedaje się nader szybko, i nie w tym dziwnego, bo dzieło to bardzo zajmujące; stanowi ono jakby żywą historią społeczności francuzkiej z ostatniej ćwierci wieku. Niejedni tam ustęp nas się dotyczy i rozświeca różne kwestye przebrzmiałe już, ale zajmujące jednak. A anegdotyczne opisy ludzi i wypadków na polu polityki, literatury, sztuki, mistrzowskimi nakreślone są rysami. Kto nie czytał, ten nie wie o tém; ale też sądzić nie powinien, a tém bardziej drukować takie sądy. Dumas ma swoje wady: zarozumiałość, samochwalstwo, gaskonady różne, fabrykowanie na pytel wielkiej ilości dzieł; lecz w każdym razie jest to człowiek z wielkim talentem i pisarz niemałym zasługi w literaturze francuzkiej.

Ale czyż to się kończy na Dumasie? Proszę tylko czytać wyroki o piśmiennictwie francuzkiem, o scenie paryżkiej. Francya nie ma już poety. A Wiktor Hugo, Lamartine, Barbier, Laprade, Jasmin i mnóstwo innych, których miejsca tu nie starczy wliczać. Francya nie ma już ani jednego autora dramatycznego. A Augier, Ponsard, V. Sardou, Feuillet, i t. d. i t. d. Daj nam tylko Boże żebyśmy mieli tyle tych wszystkich mierności.

Musieliśmy o tém napisać, bo takie sądy na wiatr rzucane, zamiast oświecać czytelników, w błąd ich tylko wprowadzają. Wydający te wyroki, obierają sobie stanowisko krytyków z katedry, o nędznych wspominających pismakach. I sądów takich drukuje się w naszych piśmiech mnóstwo, a wszystkie one podobne do siebie, zwężle, ostre, rozcinające odrazu kwestyą, potępiające bez odwołania, wołające na zasłużonych nieraz autorów: to fabrykant, to złodziej, a to głupiec. Tymczasem w piśmiennictwie naszym istnieje mnóstwo dzieł, o których nikt słowa nie wspomina, nikt sądu nie wyda. Zkąd to pochodzi? zapytają czytelnicy. Bardzo prosta na to odpowiedź. Łatwo sądzić zagranicznych, wzięwszy do ręki pierwszą lepszą gazetkę i przetłumaczywszy z niej na traf którykolwiek ustęp. Dodaje się tylko ową stereotypową śpiewkę o upadku literatury, nawymyśla się autorowi i koniec na tém. Ale chcąc wydać sąd o dziele u nas wychodzącym, trzeba przedewszystkiem koniecznie je przeczytać, a w tém właśnie sek. Nikt nie chce czytać, a choćby kto nawet przeczytał, to nie koniec na tém: należy wydać sąd, a do wydania sądu potrzebna już koniecznie jakaś nauka, jakieś choćby pierwsze wyobrażenie o estetycznych wymaganiach. I co to po tém? Łatwiej powiedzieć o Wiktorze Hugo że się wypisał, albo o Lamartine że nie już poczciwego utworzyć nie umie. To lekko przychodzi, a któż będzie kontrolował? Francuzi daleko i nie czytają sądów jakie o nich wydajemy.

A teraz od literatury przejdźmy do kliniki. Odszkod nie jest tak gwałtownym, jakby się zdawało, bo i w literaturze istnieje mnóstwo kalék i różnego rodzaju chorowitych ludzi, szczególnie u nas. Nienaruszonej indywidualności w piśmiennictwie naszym trudno jakoś znaleźć. Temu brak wzroku, temu słuchu, temu serca, a ten znów zgola głowy nie ma na karku. I dziwna rzecz, jakkolwiek bez tak ważnych i najważniejszych może organów, ludzie istnieją przecież i wywijają się nawet jako tako ze swoich zadań. To dowodzi że sztuka chirurgiczna w literaturze naszej wysoko jest posunięta. Szczególniej amputacja kwitnie. I w tém nawet widoczna jest wyższość jej nad zwykłą chirurgią, że odcięta część ciała odrasta znowu, a nawet po kilka razy operacją powtarzać można. Co zaś do usypiania chloroformem lub innemi środkami, to niechaj o tém już sądzą czytelnicy, oni bowiem pod tym względem najczęściej służą za pacjentów. Te eksperymentacje piśmiennictwa nasze, w stanie w jakim się obecnie znajduje, powtarza bezustannie. I bacząc na te tryumfalne objawy, chroń mnie Boże, ażebym coś złego wyrzekł o naszej chirurgii literackiej.

Istnieje więc projekt przeniesienia kliniki (nie literackiej) do szpitala św. Ducha. Projekt to dobry, gmach obszerny, starannie zbudowany, bardzo dogodnie przedstawia pomieszczenie. A i względ na oddalenie od szkoły głównej mniejszej jest wagi, w salach bowiem dotychczasowego szpitala św. Ducha mogłyby się pomieścić wszystkie audytorya kliniczne, a więc zakład sam w sobie mógłby już istnieć, i uczęszczający doń staraliby się o pomieszczenia w sąsiedniej stronie miasta. W dotychczasowej klinice istnieje 20 łóżek terapeutycznych, 20 chirurgicznych i 10 akuszeryjnych. W szpitalu św. Ducha uczniowie, prócz tych 50ciu łóżek etatowych, będą mieli cały szpital

do praktyki lekarskiej otworzony, tym sposobem korzyść będzie większa.

Przy szpitalu Dzieciątka Jezus pozostanie jeszcze jak dotychczas, audytorium anatomiczne; rozdział ten jednak może się odbyć bez żadnej szkody dla nauki i uczących się.

Pod względem szpitali miejskich oddawna powinaby była już zająć pewna konieczna zmiana. Najwięcej z nich znajduje się w samym środku miasta, pozostały one bowiem na miejscach pierwotnego założenia swojego, a tymczasem miasto rozszerzyło się naokoło, dawniejsze przedmieścia w główne punkta ruchu przetwarzając.

Dzisiaj należałoby dać baczenie na to. Warunki zdrowia i tak już w mieście naszym nie są w pożądanym stanie, a każdy szpital niemitem jest sąsiedztwem dla okolicznych mieszkańców. Przytem szpitalowi zbudowanemu w środku miasta, zaciśniętemu pomiędzy innymi budowlami, brak właśnie tego, co najkonieczniejszym dlań jest warunkiem, swobodnego miejsca i świeżego powietrza. Szpital św. Rocha nie ma nawet ogródka, a sąsiedztwo Krakowskiego Przedmieścia i ciągly turkot przejeżdżających powozów przeszkadza spoczynkowi chorych. Szpital św. Ducha wystawiony został przy ulicy Elektoalnej, zajmując miejsce po komorze celnej opróżnione. W każdym jednak razie lepiej niech tam już będzie klinika, która dla dogodności uczących się potrzebuje koniecznie być umieszczoną w środkowym punkcie miasta, a szpital gdziekolwiek się przeniesie, wszędzie mu będzie dobrze, bo przecież Warszawę otacza pas przedmieść niezabudowanych prawie. Miasto nasze w tym obrębie jaki zajmuje, mogłoby dwa razy większą ludność aniżeli dotychczasowa pomieścić. I stanie się tak kiedyś zapewne, bo przed Warszawą piękna przyszłość: rzadko które z miast europejskich łączy tyle warunków dobrobytu.

Przyznać jednak należy, że niewszyscy ci którzy obecnie budują tu domy, myślą o wygodzie przyszłych pokoleń. Niektóre z tych nowych budowli stawiane są wprost na spekulacyę. Byleby tylko skłecić na prędce i odprzedać korzystnie, to niech już sobie tam nowonabywca robi co chce, co nam do tego? Z wiérzchu wygląda to jako tako, każdy taki dom dość jest pokazny, żeby łatwo w oko wpadł; ale proszę się przyjrzeć tylko jak to zbudowane. To jak owe gmachy z kart: za najmniejszym wstrząśnięciem runie na ziemię. Szczęście że u nas trzęsień ziemi niema, bo i połowa tych nowych domów nie ostałaby się. A nie potrzeba na to i trzęsienia ziemi, same one rysują się bez najmniejszego powodu, robią się szpary w ścianach, i dziwno że tam ludzie nie lękają się mieszkać. Na Chmielnej naprzykład ulicy buduje się obecnie dom nowy w sposób wcale dowcipny. Ponieważ cegła jest droga, a gruz prawie nie kosztuje, przeto niewiele tam cegły, a gruzu zato pod dostatkiem. Podobne to trochę do owych afrykańskich pomieszczeń z gliny zbitych: uderzyć tylko silnie nogą, a ściana się rozwali. Ale wszystko to otynkuje się porządnie i po ukończeniu dom podobny będzie do innych, nowonabywca zaś nie każe rozwalac ścian, żeby dopatrzeć z czego one są budowane. Prawda i to, że nie do zazdrości los przyszłych mieszkańców tego domu: zimno, wilgoć, choroby będą im dokuczać; ale co na tem zależy właścicielowi, byleby ze swojego kapitału spory wyciągnął procent.

Bogdaj to stare budowle naszych ojców! Nie na lata, ale na wieki stawiano wówczas. Cegła jak żelazo, a mury fundamentalne, nie będą tańczyć kontredansa za każdą dorózką przejeżdżającą przez ulicę, jak się to w nowych domach dzieje. I żal tylko że u nas mania odnawiania tak weszła w zwyczaj, iż wszelki ślad starożytności zniknął już z naszego miasta. Stare nawet kościoły postroiliśmy w nowe sukienki i myślimy że im w tém pięknie.

A jednak cóż może być wspanialszego, jak owa starożytna barwa, którą wieki nadają? Niedawno w Paryżu jeden z najznakomitszych tamiecznych publicystów skarżył się na to zacięranie starożytnych pamiątek.

„To barbarzyństwo, wołał on, nie myśmy stawiali, nie nam więc niszczyć wolno. Stare gmachy noszą na sobie cechy wieków które minęły; na każdą warstwę tej brunatnej barwy, która je pokrywa, składała się jakaś epoka dziejowa. Tyle pamiątek, tyle wspomnień, tyle tradycy tam przywiązanych! To żywe głoski przeszłości, na nich wypisana historia wieków. Z pomników starożytnych grodów, zmartwychwstaje dziś ich przeszłość, uczeni wyczytują z nich, jak gdyby z żywej księgi, wielkie wypadki, które przeminęły. A my niszczymy te pomniki, my zacięramy tę ich pamiątkową barwę. Trzeba dwudziestu pięciu lat, żeby człowiek dorósł do dojrzałości i pełni siły swojej; trzeba kilku wieków, ażeby gmach

starożytny pokrył się tym szanownym pyłem, który historyczną jego wartość stanowi. I na człowieka przyjdzie chwila, i urywa się nagle to życie, ta siła bezwładnie. A do gmachu przyjdzie bezmyślny budowniczy ze skrobaczką w jednej ręce, z wapnem w drugiej i zeskrobie ten pył szanowny, na który wieki się składały.“

Tak to użalał się ów zagraniczny publicysta, a my piszemy się zupełnie na jego zdanie.

Przysłano nam następujący list, z żądaniem umieszczenia go.

„Proszę darować, że mimo odmównej odpowiedzi jaką otrzymałem na moję odezwę o usunięciu cudzoziemskich wyrazów z naszej mowy ojczystej, porocznem przeszło milczeniu, odzywam się znowu w tym przedmiocie. Skłoniło mnie do tego wyrażenie, umieszczone w jednym z pism tutejszych, które donosi że przy odnowieniu frontu kościoła ks. reformatów przy ulicy Senatorskiej, wzniesiono sztandary!... Jako dawny wojskowy wiem, że ten wyraz służył i służyć winien wyłącznie na oznaczenie znamienia honorowego, które przewodniczy do pochodu i boju i na które nowozaczeni przysięgają. Wprawdzie (nie wiem dlaczego) nazwano tak z niemieckiego owe słupy cienkie i wysokie, na których nazewnątrz nowo wznoszącego się muru, robotnicy zwykli umacniać służące im za podporę deski. Ale tym słupom należy koniecznie nadać inną nazwę, żeby kto się nie omylił i nie myślał że nasz Sobieski po sławnej bitwie z Turkami wziął pod Wiedniem jako najglówniejszą zdobycz... słup mularski. Sztandary nazwano tak dla odznaczenia ich od chorągwi kościelnych i cechowych noszonych przy processyach; nazwa to uarta już i powinaby się ostać. Sądję więc że uwaga moja znajdzie uznanie u czytelników Tygodnika.

Również wyraz *rusztowanie* wydaje mi się niewłaściwie użyty i sądzę iż możnaby go zastąpić *przystawką*. Jak to wejdzie w użycie, każdy to zrozumie, a tym sposobem zrobi się krok naprzód w poprawie języka polskiego, za tém zaś pójdą i inne poprawki, co mi się wydaje wcale nietrudnem do uskutecznienia, pomimo *reprimandy* (o panie, dłaczegoż ten arey cudzoziemski wyraz? czemuż nie *napomnienia*?) łaskawie mi w roku zeszłym udzielonej. Kto zatem nie lubi obczyzny, niechaj pracuje na tej niwie, rugując obce wyrażenia i zastępując je własnymi. Zresztą zostawiam to do woli panów literatów i gramatyków, ale ja ulżyłem własnemu sumieniu.“ Zostaję etc.

Rzeczywiście wyraz *sztandar* przez pismo owo użyty był na oznaczenie słupów przystawkowych; ale *sztandar*, jako chorągiew wojenna, niezbyt dawno względnie uzyskał u nas prawo obywatelstwa. Prawo to nie przeciąga się poza koniec zeszłego wieku i początek bieżącego. Dopiero wojny Napoleońskie wprowadziły u nas na dobre ten wyraz w użycie. Zawsze przedtém mówiono *chorągiew* albo *znak*; i w starych naszych pismach naprózno by kto innego wyrażenia szukał. Oddziały dawnego wojska polskiego nazywały się *chorągiewami* i służyły pod jednym *znakiem*. Od tego chorąży.

Co się tyczy wyrugowania z naszego języka innych wyrazów cudzoziemskich, jeszcze raz tu powtarzamy, że jedno tylko towarzystwo uczone, wybrane z łona narodu i uznane przezeń, mogłoby podjąć się tej pracy i doprowadzić ją pomyślnie do skutku. Na takie oczyszczenie języka potrzeba lat i sił zbiorowych. Usiłowania pojedynczych ludzi nie zaradzą złemu. Tylko geniuszom, których dzieła cały naród powtarza, udaje się odrazu wprowadzić nowy wyraz i zapewnić mu poczesne w potocznej mowie miejsce; inne takie wyrazy tworzą się nie wiadomo zkąd i nie wiadomo gdzie przepadają. Wiele to już razy wnoszono takie ulepszenia i nie przyjęły się one. Czekajmy więc. Tyle jeszcze pracy przed nami, tyle do dokonania, przyjdzie i to z kolei. Tymczasem mamy wzory, na których możemy się kształcić i opierać bezpiecznie. Język którym pisali Mickiewicz i Słowacki może być żywą dla wszystkich nauką. Dzieła takich jak oni poetów starczą w części za wszystkie prace gramatyków i badaczów języka.

W ostatnim numerze Tygodnika, w artykule o Olsztynie, na początku str. 238, przez pomyłkę zecera opuszczono w łamaniu ustęp następujący:

„... się pod piaszczystą górę, która mi Olsztyn zasłania. Stajemy wreszcie na jej szczycie, oko w oko, na przeciwnem, najeżonem skałami wzgórzu, ukazuje się ruina, a w pośrodku, pomiędzy dwoma wzgórzami ścięśnione, miasteczko.

Tak jest! Olsztyn jest miasteczkiem. Wyczytałem to najpierw w *Starożytnej Polsce*, do której przed wyjazdem po historyczne daty zająłem, a następnie wjeżdżając, na pierwszym z brzegu domostwie powie-

działa mi to przybita tablica, z napisem: „Magistrat miasta Olsztyna.“ Niepiśmienny jednak podróżnik musiałby je wziąć za wieś, od której się nie różni niczém, nawet najmniejszą do miejscowości pretenasy. Ani jednego na piętro wzniesionego, lub mrowanego bydynku, ani jednego sklepu lub kramu, ani szczątka bruku. Sto, czy ileś, poziomych domków, czyli chat, słomą krytych i ogrodami otoczonych, skupionych w kolo nieregularnego piaszczystego placu i kilku krótkich uliczek, kościół obwiedziony murem i niedaleko niego karceznka licha, otóż i miasto całe. Kościół murowany i porządny, lubo nie sklepiony, wybudowany jak to napis na suficie wskazuje r. 1742, nie w sobie godnego zajęcia nie mieści. Jedna więc tylko ruina jest zaszczytem i całą ozdobą miejsca tego.

Istnienie zamku Olsztyna bardzo poważnej sięga starożytności. Jak to sama nazwa wskazuje, powstał on równocześnie z Rabsztynem, Czorsztyńcem, Melsztynem, w smutnej owj epoce piastowskich Polski podziałów, kiedy niemczyzna, stawszy się panującą u książąt i rycerstwa modą, zagrażała rozszerzeniem się w krakowskięj ziemi, jak się w Szląsku rozszerzyła. Nawę Olsztyn, zepsuta z niemieckiego *Hohlstein*, to jest kamień wydrążony, zawdzięczał skalistej posadzie swojej, pełnej różnego rodzaju szczelin, rozpadlin i wydrążeń, które w następnych istnienia zamku wiekach rozszerzając się, zapadając, lub obniżając, stawały się powodem osłabienia jego murów i do przejścia w stan ruiny niemalo mu się przyczylny.

Kazimierz Wielki, zburzywszy pierwotny, zapewne bardzo szczupły i tylko do wykonywania pogranicznych lotrostw przydatny zameczek, wznosił na jego miejscu, może z zachowaniem niektórych trwalszych dawnj budowy części, nowy, rozległy i silny gród, którego szczęty podziśdzień oglądamy, a którego zadaniem głównie być miało zaslaniać okolice od najazdów szajek zbrojnych, w Szląsku grasujących.

Wkrótce po swém odbudowaniu zamek olsztynski był widownią jednego z tych przerażających przykładów kary, jakich we wszystkich krajach; a u nas bez porównania mniej niż gdziekolwiek, dostarczają dzieje wieków średnich. Przez czas długotrwałych w kraju nierządów namnożyło się podówczas w Polsce wszelkiego rodzaju nadużyć i gwałtów. Między innymi wielu z posiadaczy obronnych zamków i zbrojnych druzyn, poczęło praktykować rozbój, jako rodzaj

NA SKON DZIEWCZĘCIA.

Widziałem różę z pączka rozwiniętą,
Będącą lotnych wietrzyków pieśidłem,
Będącą barwnych motylów ponętą,
Które ją swoim okrążając skrzydłem,
Chciały koło niej wlatując bez końca,
Zakryć ją nawet od promieni słońca.

Widziałem dziewczę anielskiej urody,
Olsnione krasą najpiękniejszej wiosny;
Kolorem róży pałały jagody,
Na ustach uśmiech spoczywał radosny;
W oczach, jak w wodzie, gdy jęj wiatr nie wzru-
Pogodne niebo widziałem jęj duszy. [szy

Nadeszła burza! zawył wichur srogi.
Ułamał różę—rozwiął listki w pędzie,
I tylko ostre pozostały głogi,
I żaden na nich motyl nie usiedzie;
Perelka rosy, gdy róży nie zoczy,
Po nagim krzaczku smutnie się potoczy.

I śmierć nadeszła i zgubnym oddechem
Owiała dziewczę: śniegiem lice zbladło,
Usta się z lubym rozstały uśmiechem,
A w oczach duszy ściemniało zwierciadło.
Tyle przymiotów i powabów tyle
Czyż na zagubę zamknięto w mogile?

Gdy z nową wiosną róża kwiat rozwinie
I wonią krocie motyli przynęci,
Czyż może dziewczę w tój cierpień krainie
Straciwszy życie, ginąć bez pamięci?
Czyliż śmierć kwiatom dłuższy pobyt wróży,
A róż królowa nietrwalsza od róży?

Nie—ziemskie tutaj opada pokrycie,
Duch w swe ojczyście powróciwszy strony,
Tam wiedzie dalej tu przerwane życie,
U źródła życia, w życie rozplyniony,
Dąży, spełniwszy przeznaczeń konieczność,
Chwili rozkoszy używać przez wieczność.

ŻEGLUGI PAROWÉJ

NA SOLCU W WARSZAWIE.

Ruch przemysłowy i handlowy w Europie, nabięrając z każdym rokiem coraz rozleglejszych rozmiarów, pozwala przewidywać w niedalekiej przyszłości, że i nasz kraj nie będzie ostatnim pomiędzy temi, które pod względem przedsiębiorstw i zakładów fabrycznych liczą się do szczęśliwych. W dziewiętnastym wieku, pośród nieskończonej wielkości nagromadzonych ku temu celowi środków, pozostawionych każdemu krajowi według jego potrzeb do użytkowania z nich, byle nie zabrakło zdolności specjalnych i chęci do przyswojenia sobie tego, co jest najkorzystniejszym i najwłaściwszym w swych warunkach dla dobrobytu kraju, — niepodobna przypuścić, ażebyśmy obojętnym patrzyli okiem na tę potęgę geniuszu ludzkiego, stwarzającą cuda w dziedzinie kunsztu, przemysłu i handlu, ażebyśmy nie przyjęli u-

pierwsze dwa lata swego istnienia, ciężkie próby, doszła dopiero w r. 1848 do większego znaczenia, po przystąpieniu hr. Andrzeja Zamojskiego do współudziału z Edwardem Guibertem, pierwszym przedsiębiorcą żeglugi parowej w Polsce.

Porównyując główne peryody jej przejścia aż do obecnej chwili, niepodobna pominąć tej uwagi, że w łonie każdej z tych epok tkwiły myśli, które w późniejszych latach ważne dla handlu krajowego zrodziły przedsięwzięcia. Dość wspomnieć obiarze komisowem, zaprowadzonem obok biura żeglugi parowej, ułatwiającem sprzedaż pszenicy obywatelom ziemskim na targach zagranicznych w Gdańsku i Londynie, a łatwo dopatrzymy myśli, która w tak obszernych rozmiarach rozwinęła się w dzisiejszych domach zleceń rolników polskich.

Po wystąpieniu ze spółki Edwarda Guiberta r. 1850, podjęły zakłady Andrzeja hr. Zamojskiego ciężkie brzemie tego przedsięwzięcia wyłącznie na własne barki, a brak dostatecznych kapitałów, towarzyszący początkowemu niepowodzeniu, nie zrażał ich bynajmniej w tym trudnym zawodzie. O zyskach nie by-

hr. Zamojski, August hr. Zamojski, Kazimir Zyberg hr. Plater, Piotr Mężyński i Leopold Kronenberg w ogóle zł. 1,880,000, celem zaś dokompletowania kapitału postanowiono wypuścić 376 akcji po zł. 5000.

Konieczność pomnożenia floty spółkowej i połączonych z nią zakładów, a tém samém potrzeba wzmocnienia funduszu, spowodowała na dniu 1 lutego 1864 r. rozwinięcie kontraktu poprzedniego spółki dotychczasowej na akcyjną. Tym celem utworzono fundusz rezerwowy w summie zł. 2,000,000; nadto podniesiono dotychczasowy kapitał zakładowy, nie licząc w to kapitału rezerwowego, do wysokości zł. 6,000,000. Summę tę, jako stałe wyposażenie spółki, postanowiono dokompletować przez przybranie większej ilości spółników komandytowych, za pomocą akcji po zł. 666 gr. 20, tak iż 3000 akcji rozdzielono między spółników dotychczasowych, resztę zaś 6000 oddano do rozporządzenia firmowego spółnika Andrzeja hr. Zamojskiego.

W miarę zwiększania się kapitału zakładowego, podnosiła się też w tym samym stosunku i wartość



WARSZTATY ŻEGLUGI PAROWÉJ NA SOLCU W WARSZAWIE. (Rysował na miejscu Fabijański).

działu, w dziele tych mistrzów, co nauczyli ludzi jeździć parą, płynąć w obłokach, ogniem pisać i słońcem malować.

Skrzętna czynność około podniesienia życia tego rodzaju, jest ręką wiarę we własne siły, co w każdym przedsięwzięciu już jest ważnym warunkiem dla osiągnięcia zamierzonego celu; byle tylko nie ustawać na tej drodze, choćby przyszło walczyć z nieprzyjawnymi okolicznościami.

Na ten temat wzrostu przemysłowego, chcemy tu skrócić kilka słów o zakładach fabrycznych Andrzeja hr. Zamojskiego, ich przeszłości i przyszłości, w której, przy rozwinięciu się obszerniejszej działalności fabrycznej, nową i świetniejszą jak dotąd upatrujemy erę.

Aby mieć niejako szkieletową całość tego przedmiotu, rzucmy okiem na bieg istnienia pomienionych zakładów, od początku ich aż do obecnej chwili.

Żegluga parowa, razem z zakładami fabrycznymi Andrzeja hr. Zamojskiego, przeszedłszy od chwili założenia swego w r. 1846, po sprowadzeniu dwóch statków parowych z Francji, a mianowicie przez

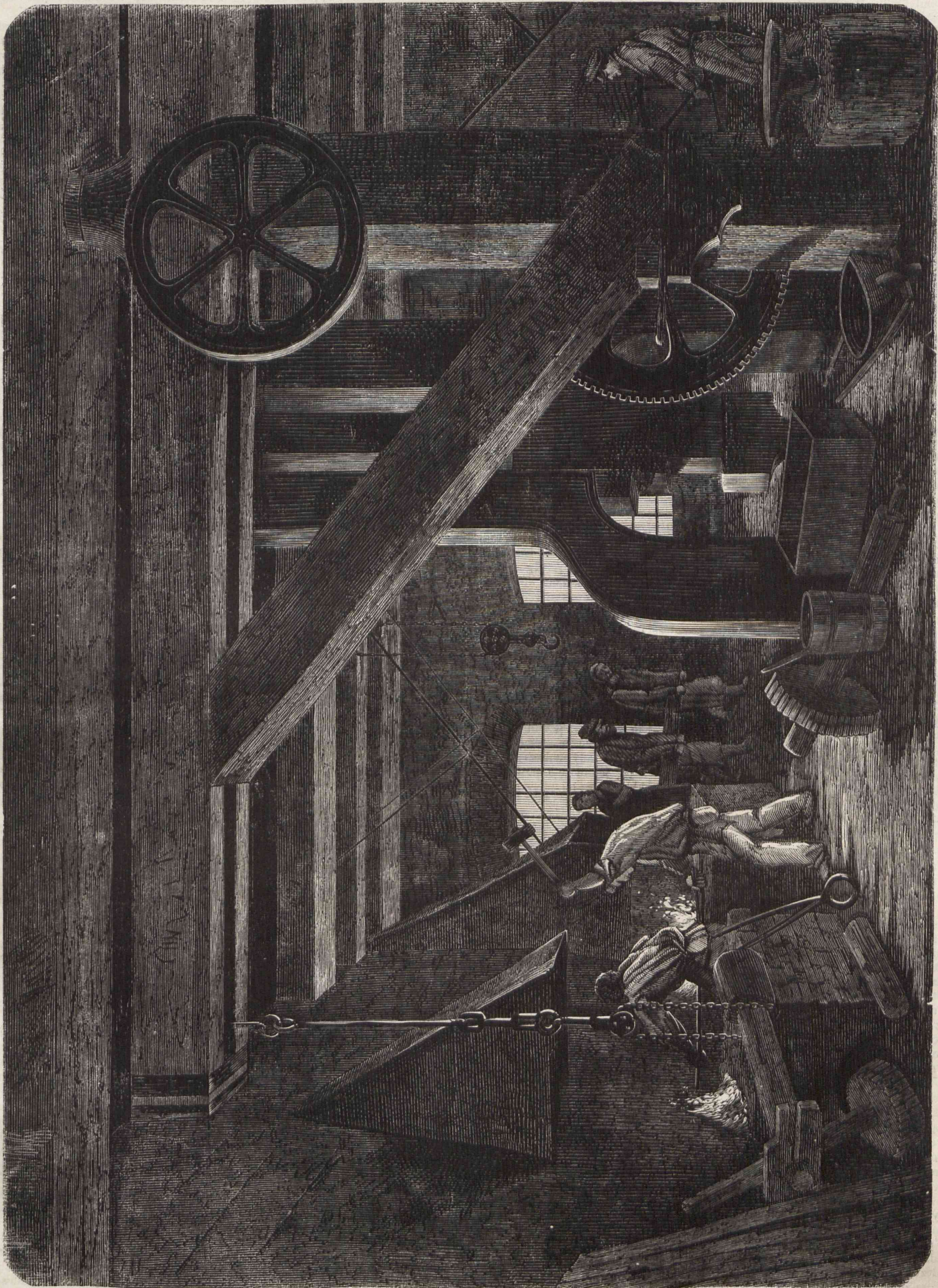
łó ani mowy, zdarzało się bowiem częstokroć wprost przeciwnie, bo wypadło obywatelom, po uskutecznionej sprzedaży za pszenicę, dopłacać z własnych funduszy. Wszystkie te przeszkody pokonano jednak wytrwałością i zabiegami, tak iż kapitał zakładowy, a z nim i liczba statków na Wiśle, pomnożyły się w r. 1853 prawie w dwójnasób. Flota bowiem żeglugi składała się już wtenczas z 9 paropływów, 20 gabar i 3 embarkaderów, a kapitał podniósł się do wysokości zł. 3,295,333 gr 10. W r. 1854 od d. 1 stycznia rozwiązany został jednogłównie akt spółkowy z d. 27 kwietnia 1848 r., a natomiast zawarto spółkę komandytową na lat 18, której głównym i wyłącznym administratorem obrany został Andrzej hr. Zamojski.

W tym drugim niejako peryodzie, mocą nowego kontraktu, zawarowała sobie żegluga rozszerzenie eksploatacji transportów nietylko po rzekach królestwa polskiego, ale i po rzekach krajów graniczących z Polską. Summę kapitału zakładowego podniesiono do wysokości zł. 3,760,000, w której to summie złożyli: Andrzej hr. Zamojski, Adam hr. Potocki, Jan

inwentarza żeglugi, która z d. 1 stycznia 1862 wynosiła zł. 7,090,559 gr. 27.

Warsztaty w fabryce machin na Solcu, oprócz odlewni, oraz zakłady machin i narzędzi rolniczych, różne wykonywały roboty, a mianowicie: maszyny parowe, kotły, sikawki, a między temi znaczniejsze roboty dla fabryk cukru, tak krajowych jak zagranicznych, do młynów amerykańskich tartaków i t. p., oraz dla żeglugi parowej 7 nowych gabar żelaznych, za summę zł. 2.066.666 gr. 20, nie licząc w to najnowszego obstatunku w statkach parowych dla nowo utworzonej żeglugi na Dniestrze.

O tych wszystkich robotach zamieszczały czasopisma nasze szczegółowe wzmianki. Co zaś do statku parowego na Dniestrze i sześciu gabar, zbudowanych na tej macierzy rzek galicyjskich przez fabrykę Andrzeja hr. Zamojskiego, nie omieszkamy w swoim czasie podać obszerniejszej wiadomości, skoro próba żeglugi, odbywająca się właśnie w tych dniach w Żurawnie, gdzie statek złożono i na wodę puszczono, zostanie dopełnioną. Nateraz tyle tylko dodamy, że statek ten o sile 50 koni, mający się zanu-



WNĘTRZE WARSZTATÓW KOWALSKICH. (Rysował na miejscu Fabjanski.)

rzeć na 18 cali, należy według uznania bezstronnych a naocznych świadków do najpiękniejszych tego rodzaju robót jakie w warsztach żegluga parowej na Solcu dotąd wykonano. Misterna robota, praktyczność urządzeń tak zewnętrznych jakoteż i wewnętrznych, z niejakim przepychem zastosowana do wygod i potrzeb podróżującej publiczności, nie nie zostawia do życzenia.

Rzuciwszy okiem przelotnie na 16toletni bieg dziejów żegluga parowej, widzimy że mimo niepowodzeń i strat jakie w początkach swego trudnego zawodu doznawała, z przyczyn nieprzewidywanych i przypadkowych, dążyła jednak niezmordowanie do rozgałęzienia swych wewnętrznych i zewnętrznych stosunków i z wytrwałością zdobywała sobie warunki żywotne swego bytu w coraz rozleglejszych rozmiarach.

A teraz zwróćmy pilniejszą uwagę na jej zakłady fabryczne, których przyszłość już nie zawisła od okoliczności przypadkowych, jak n. p. żegluga od stanu wody na Wiśle, ale raczej od tych warunków, jakie sobie same przez trafną administracją, a szczególnie przez postępową doskonałość i użyteczność, w kraju wyrobić mogą i powinny. Doświadczenie uczy, że kto nie postępuje, ten się cofa. Zakłady fabryczne na Solcu, pojawiwszy prawdziwość tej zasady, dokładały wszelkich usiłowań, ażeby rozwinąć wszystkie swe zasoby materialne i intelektualne. Warsztaty zaopatrzone też są w dostateczną ilość maszyn pomocniczych, potrzebnych do wykonywania robót temu zakładowi właściwych. Warsztaty mechaniczne mieszczą w sobie maszynę parową 14 konną, do nadawania ruchu maszynom pomocniczym, wraz z kotłem parowym 3 atmosferycznym; maszynę wielką pionową 3 kolumnową do toczenia walców parowych (cylindrów) i świdrownię (bormaszynę) Nasmytha. Dalej idzie maszyna do gwintowania śrub i muller, wielka świdrownia kolumnowa i mała heblarnia; 3 małe i 4 duże tokarnie i także heblarnia. W kuzni młot parowy (jak rycina przedstawia) na 1500 kilogramów czyli 37½ centnarów, wentylator i warsztat do składania machin, z odpowiednią windą do poszukiwania ciężarów i t. p. przyrządów, o których dla szupkości miejsca niepodobna nam obszerniej się rozpisywać.

W takich widząc się warunkach, fabryka postanowiła korzystać z tych środków i uczyniła śmiały krok w ostatnich czasach do rozgałęzienia swjej działalności, co ją postawić może na równi z innymi największymi fabrykami zagranicznymi tego rodzaju.

Wiadomo że kolej żelazna w Polsce, dostarczająca ze wszystkich przedsięwzięć największą i najpewniejszą środków podniesienia handlu i przemysłu krajowego, posilkowała się dotąd w najgłówniejszych potrzebach swoich, a mianowicie w lokomotywach i wagonach, wyrobami fabryk zagranicznych, na co miliony wychodziły i wychodzą dotąd z kraju. Inaczej też być nie mogło, żaden bowiem zakład krajowy nie dawał dotąd dostatecznej ręką w tak ważnej sprawie dla drogi żelaznej, która tylko z pewnego i niezawodnego źródła zaopatrywać się mogła w niezbędne dla eksploatacji przybory. Borsig i Pflug w Berlinie, Sigl w Wiedniu, a od niedawna Schmidt i sp. we Wrocławiu, zjednawszy sobie wziętość i zaufanie, u wszystkich niemal towarzystw dróg żelaznych w Europie, dostarczały też i dla kolei żelaznej w Polsce potrzebnych dla jej taboru przedmiotów, w czem fabryka machin Andrzeja hr. Zamojskiego małoznaczący tylko brała udział, jak n. p. przy drodze warszawsko-bydgoskiej; a przecież w ciągu 12sto-letniego swego istnienia budowała też fabryka machin i kotły różnej konstrukcji i wymiarów, z powodzeniem i powszechnym zadowoleniem nabywców krajowych. Doświadczenie w tym kierunku i w tak długim czasie nabyte, postawiło ją dziś już w możności rozwinięcia swjej działalności na nierównie większą skalę. W tym celu wystąpiła fabryka machin Andrzeja hr. Zamojskiego, na d. 13 października z. r., do towarzystwa dróg żelaznych z propozycją zbudowania 2ch parochodów i 2ch wagonów, (węglarek) na wzór używanych dotąd na drodze warszawsko-wiedeńskiej, a to bez żadnej gwarancji w tej mierze ze strony towarzystwa, z tym tylko warunkiem, że wyrobione przez nią rzeczono przedmioty, zakupione zostaną, skoro odpowiedzą wszelkim wymaganiom dobroci i użyteczności, tak pod względem budowy, jakoteż i materiałów do takowych użytych. Dyrekcyja drogi żelaznej z żywym współudziałem i przychylnym wnioskiem przedstawiła odezwę tę radzie zarządzającej, która projekt fabryki na dniu 3 listopada z. r. zatwierdziła.

Na tym więc punkcie stanęły rzeczy, że droga do popisu została otwartą, a z nią i pomysłna przyszłość dla przemysłu i handlu, które w tej nowej dążności

zakładów hr. Andrzeja Zamojskiego znajdą obszerne pole do rozszerzenia się. Dążność ta, jak każdy nowy a nęcący pomysł, znajdzie niezawodnie naśladowców, a takie współzawodnictwo fabryk krajowych tylko korzyść przyniesie może dla towarzystwa dróg żelaznych.

Projektowane rozgałęzienie dróg żelaznych w Polsce, powinno też do podobnej emulacji i inne fabryki krajowe zachęcić; potrzeba bowiem okaże się olbrzymią w tym względzie, jeżeli zamierzone koleje lubelska, kaliska i sandomierska przyjdą do skutku, nie mówiąc już o drodze galicyjskiej, która zapewne nie pozostanie w tyle, jeżeli pierwsze wystąpienie popisowe fabryki machin Andrzeja hr. Zamojskiego u towarzystwa dróg żelaznych warszawsko-wiedeńskiej i warszawsko-bydgoskiej powiedzie się zwycięsko.—Szczęść Boże w tym przedsięwzięciu! Oby zamierzy dobre niebawem w czyn się zamieniły, a przekonani jesteśmy, że dobra wola i zachęta, podsycona właściwymi ku temu środkami, wywołają nową erę przemysłu, tej wielkiej dźwigni materialnej pomysłowości kraju.

ZARYS WYKŁADU GEOGRAFII,

mianowicie w zastosowaniu do wyższych zakładów żeńskich.

Zaczynam od głównego zarysu planu wykładu samego, z powodu że przedmiot niniejszy, rozważany ze stanowiska całkiem nowego, wymaga rozbioru i zastanowienia się uczonych, pod rozwagę których się podaje. (1) Jeśli rozberzemy zarys planu i całą, jak sądzę, praktyczną jego doniosłość, w ślad za tem łatwo pójść może nakreślenie planu szczegółowego, czyli programu.

Nie podlega wątpliwości, że jeśli w wykształceniu mężczyzny geografia staje się podstawą zasadniczą wyższych nauk: historii, statystyki, geologii, geognosji i w ogóle wielu nauk przyrodzonych, które tem gruntowniej i samodzielniej doskonalone być mogą, im gruntowniej w geografii zasadę otrzymały; to znowu w wykształceniu kobiety, chociaż w celach zupełnie różnych, geografia stać się powinna punktem środkowym, koło którego skupiać się i jednoczyć może cały zapas więcej domowego niż społeczeńskiego jej wykształcenia. Z tego tylko punktu, że się tak wyrażę, wolno jest dobrze, według potrzeb i wymagań czasu, wykształconej kobiecie, dojsć bez ubliżenia skromności jej płci właściwej i bez ściągania na siebie zarzutu zarozumiałości odpychającej, do pewnej sfery ogólnoludzkiego wykształcenia.

Tak pojmowana, a w widokach dokonania i zawarcia wykształcenia kobiety prowadzić się mająca nauka geografii, powinna samym wykładem swoim przygotowywać ją, chociażby pomimo jej wiedzy, do tego, co cały zakres właściwego wykształcenia zapewnić jej może i powinien. A przedewszystkiem wykład ten, na pierwszym wstępie, ma pokonać nieprzemozone trudności, tak w samej naturze nauki, jak więcej jeszcze w powszechnie prawie nietrafnym sposobie jej wykładu leżące.

Dwa niezaprzeczone fakta rażąco uderzają w oczy każdego, kto się praktycznie dotykał tak zwanego dotąd wykształcenia kobiety. Pierwszym jest brak ścisłego, logicznego związku między pojęciami nabytymi w skutek nauki; drugim pewien rodzaj biernego, jakby przymusowego objawiania tych pojęć, co jest niezaprzeczenie skutkiem wyłączności pamięciowej pracy, używanej w dotychczasowym sposobie nauczania kobiet. Fakta te w sposób zadziwiający jednoczą się ze sposobem lepszego albo gorszego wykładu i korzyści odniesionej z nauczania geografii.

Tak dalece niema przesady w tem zdaniu, że udawało mi się nieraz słabszych zdolności, a okrzyczane za tępe uczennice, rozwinięszy je w pojęciach geograficznych, uzdolnić do korzystania i nawet widocznego postępu w innych naukach, mających z geografją związek. Rzecz zaś leżała nie w wyłącznym sposobie logicznego rozwikłania pojęć osoby mniej uzdolnionej, ale właśnie w tem zadowoleniu i ukontentowaniu jakiego nabywało dziecię, uzyskując przez dobre w geografii postępy jakiś punkt stały, jakiś ognisko, koło którego skupiać się w harmonijnym porządku począły inne, dotąd obojętne dla niego nauki. Nie przesadzam: po geografii starożytniej, łatwiej i składniej następowały po sobie fakta historyczne; dowodniej i doraźniej grupowały się cały zapas nauk przyrodzonych, gdy go rozmyślniej rozłożono w geografii fizycznej; ciekawszem i ponętniejszem stawały się same nawet ogólniki nauk politycznych, gdy je rozmieszczono wedle zasad i pojęć stopniowo się wywiązujących,

(1) Życzenie szanownego autora, aby rozprawka jego wywołała dyskusję, w zupełności podzielamy i chętnie artykułom tego rodzaju otworzymy szpalty naszego pisma.

(Przyp. redak.)

tak religijnych jak towarzyskich; a nawet ściśle pojęcia mechaniki, budowy nieba, stosunku ciał niebieskich i zawisłość zjawisk, wzbudzały coraz więcej ciekawości i zajęcia.

W zamiarze tego usystematyzowania całej dziedziny nauk, stanowiących właściwe pole wykształcenia kobiety w zakresie wyższych szkół żeńskich, powinien, jakem to wyraził na początku, wykład geografii stać się dostępniejszym, łatwiejszym i bardziej zajmującym niż dotąd.

Nieprzewyciężona w nauczaniu geografii trudność leżała w tem właśnie, że ją uważano bezwarunkowo za przedmiot dający się nabyć li tylko pamięciową pracą. Owo pokazywanie na mappach, było li tylko luźnym przenoszeniem uwagi z przedmiotu na przedmiot, bez zatrzymania się nad nim i bez możliwości zawiadnienia nim, że się tak wyrażę, jak swoim. Ów rozkaz czy rada rysowania na tablicy lub papierze (wtedy, gdy rzadko spotkać nauczyciela, któryby w tym względzie sam godnym dla ucznia mógł stać się wzorem), prowadziła do jeszcze gorszej ostateczności. Uczeń rysował aż do wzbudzenia pośmiewiska, nauczyciel, nie poprawiając, mówił że źle lub dobrze, i na tem się kończyło; ale pierwszy tracił właśnie najważniejszą jaką z geografii odnieść można korzyść, szczególnie w wykształceniu kobiety.

O tem zaraz powiem.

Nauczyciel geografii, który z całego zapasu rozumianych cudów wszechmocy sam przekonał się o naturalnie pięknym ustroju natury, który, ze stopniowego rozwikływania się pojęć geograficznych, od Herodota, Ptolemeusza i Strabona począwszy, przekonał się że cały układ i stosunek lądów do morza na kuli ziemskiej doskonale odpowiada idei piękna,—przekonał się też niezawodnie, że jak cała lądów i morza masa, tak też każda część wyjątkowo, przez swój dziwnie odpowiedni do całości stosunek, niezaprzeczenie nosi na sobie jakies piękna odbicie. Komu wszystko jedno czy trójkąt pochylony z przedłużonym jednym kątem, czy ląd Ameryki południowej, ten albo nie zna geografii, albo jej nie lubi—a co zawsze w parze chodzi. Lecz kto w tym trójkącie oznacza główne lądu zarysy, z ich dziwnie powabnym nachyleniem do obu oceanów, z zarysami głównymi i pobocznymi gór, ich stosunkiem do rzek i odnóg, ten uprzytomnioną ideję pięknokształtu wrażeń zdoła w ucznia. A przekonałem się, że to właśnie wrażenie stanowi najlepszą podniętę do zamiłowania geografii. Uczeń pocznie sam odtąd wyszukiwać piękna w postaci lądów, mórz, gór i rzek, a praca wyobraźni z łatwością zatrzymuje to, co samą pamięcią zdobyte, zawsze jest mu obce, nie rozbudzi umysłu z uspienia, a przynajmniej ze zwykłej obojętności dla geografii.

Trudno, jeszcze raz powtarzamy, przekonać o tej prawdzie rutynistów wdrożonych do innego porządku w wykładzie, a lubiących się opierać na powadze pierwszego lepszego dziełka o geografii, dającego właśnie uczniowi najmniej prawdziwie geograficznych pojęć; ale nadzwyczaj łatwo przekonać się każdemu, kto tę prawdę za podstawę przyjął, że uczeń, niepojętny nawet, poznawszy o co rzeczywiście chodzi nauczycielowi w kręśleniu mapy i pochwycawszy ideję pięknokształtu w postaciach wód i lądów, zadziwiająco w geografii robić poczyną postępy. Przekonani jesteśmy, że ze wszystkich pojęć, które idąc naturalną rozwinięciem drogą, w człowieku rozbudzać się poczynają, najpierwszem jest pojęcie piękna. Otóż nie może nauczyciel lepszego przedmiotu znaleźć dla zastosowania swego talentu, jeśli go rzeczywiście posiada, do właściwego i odpowiedniego siłom swych młodych uczniów kształcenia i rozwijania tego naturalnego o pięknym pojęciu, nad naukę geografii. Najmniej wprawne i najtępsze oko ucznia prędko rozpozna i wynajdzie różnicę między jakimś odpychającym bezkształtem, jego ulepszoną formą, a nareszcie poprawioną zupełnie i zbliżoną do rzeczywistej piękności kształtu jakiegokolwiek części lądu lub morza. Znalazłszy ten stosunek i wprawniwszy się za pomocą rysowania mapp poprawnych do należytego oddawania w obrazie danej ziemi tej postaci piękna, uczeń ją pokocha i rozmiłuje się w niej, jako w swoim własnym, pracą osobistego przeświadczenia dokonaniem dzieła. Jest to, jak wiemy z własnego doświadczenia, druga korzyść znakomita, jaką uczeń z praktycznego nauczania geografii odnosi niezawodnie, przy powyższych warunkach w jej wykładaniu zachowanych. Za nią idzie trzecia i najważniejsza, umiejętność geografii.

Nie podlega wątpliwości, że samo odtwarzanie pięknych kształtów ziemi danej, nie stanowi jeszcze i stanowić nie może umiejętności geografii; ale to jest prawdą niezaprzeczoną, że do znajomości gruntownej tej nauki prowadzi najlżejszą, najprzystępniejszą drogą. Przeróżnych sposobów używano dotąd do rozwijania i kształcenia pamięci. Używano nawet mnemo-

niki, która, jako nauka niby, nigdy przecież do stanowiska wyrozumowanej nauki podniesioną nie będzie. Czemuż nie próbowano kształcić wyobraźni, tego, że się tak wyrażę, najmniejszego materiału ze wszystkich umysłowych zasobów wychowawca, gdy pod wprawą dłoni artysty-nauczyciela można z niej z taką łatwością udatne formy piękna wydobywać, a razem z ich wydobyciem i uprzytomnieniem w umyśle wychowawca, można tyle zarazem uspiionych władz obudzić i zużytkować na jego własną korzyść? W takim nauczaniu geografii o jakim mowa, najwidoczniejsze nieraz mieliśmy tego przykłady. Tymczasem nawet bystrych zdolności uczeń, samą pracą pamięciową nabywszy jakich wiadomości geograficznych, nigdy ich w pewnym związku i szyku zachować nie będzie umiał w pamięci. Zład wynika odmet w pojęciach, za nim idzie bezładne pomieszanie wszystkich wiadomości, a potem następuje zupełne zapomnienie wszystkiego, czego się zdołało z wielkim nauczycielem.

Inaczej bywa wtedy, gdy za pośrednictwem rozwijania wyobraźni, uniano uprzytomnić uczniowi pojęcie piękna we wszystkich kształtach kuli ziemskiej i jego samego wprawić do ujmowania tej idei w każdym zarysie. Oprócz zamilowania bardzo właściwego dla samego pojęcia piękna, zatrzymuje się tu jeszcze uwaga ucznia nad każdym zarysem szczególnym i jego do całości stosunkiem; a właśnie to ciągłe skupianie uwagi, dokonywane pod przewodnictwem wyobraźni, powoduje bezwiednie pamięcią, ruchliwszą, wrażliwszą i posłusznieszczą ją czyni.

Nie wyszlibyśmy z zakresu samego wstępu, do obecnie przekładanego sposobu i planu nauczania geografii, gdybyśmy myśl każdą chcieli choćby jednym wesprzeć dowodem. Najlepszym tu dowodem i unocznieniem prawdy będzie to, że po pierwszych kilku lekcjach, obmyślanych w takim porządku i celu, w uczniu poczyna się wzniecać uwaga i zainteresowanie do przedmiotu, a w ślad za tem budzi się i utrwała zamiłowanie,—to zaś ostatnie jest tą właśnie dźwignią, którą poruszyć i wywołać może wprawny nauczyciel mniej bystre nawet swego ucznia zdolności.

Idzie więc teraz o właściwe i przyzwoite zużytkowanie tych zdolności, a zastanowienie się nad tem jest i być powinno przedmiotem rozumnego skierowania samej nauki do wzniosłego celu wykształcenia kobiety.

Wykształcenie, jakieśmy się z tem na początku odezwali, innem jest w zakresie powołania kobiety niż męczyzny—jak w ogóle różnieni są drogi tak powołań jak celów płci obu. Nieprzeto jednak wykształcenie kobiety ma zawsze chromać na nieprzebaczoną dorywczowość, brak systematu i związku. Pożądaną byłoby rzeczą znaleźć i rozmyślnie oznaczyć to trwałe drzewo, kolo którego lub na którym ugrupowałyby się w harmonijnym związku wszystkie skromne kwiaty z ogrodu nauki kobietom dostępnej uzbierane. Trwamy zaś w przekonaniu, że tem drzewem jednoczącą wiedzę kobiety w pewien zwiezły systemat, byłaby nauka geografii, i w tej właśnie myśli plan jej wykładu i cel sam oznaczamy.

Jeden i drugi stosowałyby się musiał do rozważnie ułożonego praktycznego i teoretycznego sposobu wykładania samej nauki.

Sposób praktyczny, całkiem na dobrej chęci, zamilowaniem do przedmiotu kierowanej, oraz na zdolności nauczyciela polegający, miałby za cel najbliższy nauczanie samej geografii, na zasadach wyżej wykazanych.

Plan teoretyczny, mający na widoku wykształcenie kobiety, uczynienie z geografii środka, kolo którego zaokrągliłyby się systematycznie wszystkie wiadomości jej powołaniu właściwe i któreby najwłaściwiej zużytkować mogła w całym tego powołania zakresie, powinien się rozszerzyć, aby objąć w sobie cały tego wykształcenia widnokrąg, i odwrotnie, powinien się zawrzeć, aby z przeświadczeniem i rozmyślnie, jakby w kole jakim, wszystkim wiadomościom kobiety nadać pewien systematyczny, zaokrąglony całości kształt.

Postaram się tę myśl wyjaśnić rzuceniem pobieżnego zarysu samego planu. (1)

A) Wykład praktyczny.

Wykładowi praktycznemu geografii, jako nauki, przewodniczyć powinna jedynie myśl uprzyjemnienia

(1) Zastrzegam wszakże, iż planu tego używałem dotąd najkorzystniej w domowym wychowaniu, a co za tem idzie, że przeniesienie go z idei domowego wykształcenia kobiety, do wykształcenia publicznego, jeśli i wymagał zmian jakich, to zawsze radziłbym mieć na względzie to wszechopatrne prawo, prawo niezmienne poniekąd, że publiczne wychowanie i wykształcenie kobiety, aby doskonale odpowiadało swojemu celowi, musi nosić na sobie nie sam pozór tylko, ale być wyrazem, urzeczywistnieniem i dopełnieniem domowego wykształcenia. (Przyp. aut.)

samej nauki, do czego nauczyciel niemniej rozważnie przystępować powinien. O ile niezbędnem jest żeby sam nauczyciel jaknajpoprawniej umiał kręślić mapy na tablicy, aby uczniowie postrzegali na każdym kroku, że ich niekształtne formy pod wprawą jego ręką nabywają postaci pięknych, że z jakichś niezgrabnych i bezkształtnych zarysów, podnoszą się do rzeczywistych pięknowzorów, a o co nam w tym wykładzie przedewszystkiem chodzić powinno;—o tyle sam sposób wykładu i zręczne przystąpienie do niego, czyli obranie właściwej drogi, nadwyzczaj wiele wpływa na rzeczywisty postęp i korzyść, jakich uczniowie przy powyższym wykładzie nabędą niezaprzeczenie.

Rzadko się kto dotąd zastanowił nad wielkiego znaczenia niestosownością praktykowaną w porządku jakiegoś się trzymano przy wykładzie geografii. Tak w publicznym wykładzie po szkołach, jak w doręcznikach geograficznych, nie wiem dla jakich powodów, po tak nazwanych wstępnych wiadomościach, zaczyna od bardzo szczegółowej geografii Europy. Nie przypuszczam zaiste, by jakakolwiek myśl zdrowa przewodniczyła podobnemu planowi metody geograficznej. Ośmielam się nawet, pomimo tylu wiekami uświęconej rutyny, wypowiedzieć zdanie, że metodzie tej wręcz brakowało pedagogicznej, ściślej zasady. Czy może uczeń, bez szwanku dla swoich zdolności, poczynać od rzeczy trudniejszych? Pomijam zarzuty, któreby tu kto chciał zrobić, a z pociecha prawdziwą oprę się na programacie który niedawno iniałem w rękę i który, pomimo niejakich usterków, z dziwną logicznością tę prawdę pochwylił; w nim bowiem geografia Europy umieszczoną jest naostatku. Poprzedzają ją łatwiejsze kuli ziemskiej części, Azja, Afryka, Ameryka. Jeśli się postawimy na stanowisku nauczyciela, który z przekonaniem naszym przystępowałby do nauczania geografii, to ten rychło postrzeże, iż nawet w gwałtownej potrzebie kształcenia pojęcia piękna, jakiebyśmy uczniowi przez geografiam wrażli chcieli, potrzebnem jest zachowanie tego naturalnego następstwa i przejścia od rzeczy łatwiejszych do trudniejszych, zupełnie tak samo jak w nauce rysunków nikt nie zaczyna od kształtu i wyrazu twarzy całej, ale poczyna wprawiać się do tego od rysowania nosów, ocz, uszu i t. p. Europa, że się tak wyrażę, jest twarzą, na której cywilizacja najwyraźniejsze piętno postępu i udoskonalenia ludzkiego wycisnęła; rysujmyż uprzednio nosy, oczy, uszy, jako wstęp do tej cywilizacji. Na zmianie takiej, oprócz tego że zyskuje przeważnie sama wprawa przysposobienia się do dobrego kręślenia mapp, w przechodzeniu od rzeczy łatwiejszych do trudniejszych, ale nadto zmiana taka odpowiadałaby planowi teoretycznemu, który w samym wykładzie geografii nie powinien spuszczać z uwagi wyższych celów wykształcenia, naturalnego przebiegu wszystkich objawów cywilizacji. Tu, że tak rzekę, po śladach żywych przeszłości, za rękę ucznia prowadzić można po drodze którą szła cywilizacja, zjednoczywszy się, skupiwszy i udoskonaliliwszy w Europie. Tu, choćby w najszuplejszym zakresie, ale wrażliwając w przekonanie ucznia zawisłość postępu ludzkiego od natury która go otaczała, można go przysposobić, już z samych oderwanych pojęć geograficznych, do wyższego kombinowania, rozważni, zgola, można rozszerzyć i rozewrzeć wszystkie jego władze umysłowe.

Dla osiągnięcia więc tego dalszego celu, w nauczaniu praktycznym geografii poczynaliśmy zwykle od Afryki, jako łatwiejszej. Z niej przechodziliśmy do Azji, z tej zaś, jeśliśmy więcej przestrzegali chcieli planu historycznego i naturalnej nici wypadków i pojęć cywilizacyjnych, przechodziliśmy bezpośrednio do Europy, tem bardziej że uczeń, dość wprawiony do rysowania przez dwie części świata łatwiejsze, może już z korzyścią przedsięwziąć rysowanie Europy. Jeśli zaś tego ile można bezpośredniego zbratania geografii z historią i dziejami cywilizacji na względzie nie mieliśmy, przechodziliśmy z Azji do Ameryki, jako zawsze dla rysunku łatwiejszej od Europy. Ten plan ściśle geograficzny, w myśli nauczania samej geografii dokonany, już tem samem zapewniał korzyść i nauce, że uczniowie i uczennice starsze lepiej umieli i mogli korzystać z geografii Europy, do której ich, po uprzednim zapoznaniu się z pozostałymi częściami świata, jakiś naturalny popęd skłaniał i większe zainteresowanie się obudzał.

B) Plan teoretyczny.

W planie tym miałem na względzie specjalne, a właściwe powołaniu kobiety wykształcenie; dawałem mu przeto zakres mniej więcej odpowiedni temu celowi. Ze zaś dotąd przychodziło mi najczęściej zastanawiać system mojego wykładu geografii w wychowaniu domowym, w którym zwykle poprzestawano i ograniczano się nadwyzczaj niewielu przedmiotami,

z opuszczeniem zupełnym nauk przyrodzonych, musiałem przeto, o ile czas mego wykładu pozwalał, a zastosowując się do zdolności i usposobień uczennic, zapelniać tę próżnię wykładem jak można popularnym i doświadczalnym, na każdym niemal kroku, nauk przyrodzonych, o ile te niezbędnymi były do tego, żeby uczennica dokładnie sobie umiała wytłumaczyć każde pojęcie bądź z geografii fizycznej, bądź z matematycznej. Rzecz ta wcale nie była tak trudną, jak się zdaje na pierwszy rzut oka. Nauczyciel np. lubiący swój przedmiot, znajdzie pod ręką przykłady, które uprzytomnią niejako uczniowi prawa kołowego obrotu planet; będzie umiał rozmieścić w umyśle i przekonaniu ucznia planety według ich porządku; wynajdzie sposoby wytłumaczenia różnicy czasu użytego na te obroty, co wszystko połączone z żywością i wprawą opowiadania, a oparte na przykładach wiadomych i najwyzczajniejszych, niepomiernie rozbudza uwagę dziecka i rozwija jego umysłowe zdolności. Toż samo bywa z geografiam fizyczną. Kilka najprostszych i najwyzczajniejszych doświadczeń chemicznych, jak: rozkład wody, łatwy proces otrzymania wodorodu, chloru, saletrodu i kwasorodu, i doświadczenia nad nimi w przytomności ucznia dokonywane, budzą ogromne zamiłowanie do podobnego wykładu, a zarazem udzielają mu najzdrowszych pojęć o powietrzu, wodzie, ogniu, tych głównych podstawach zmian wszystkich na ziemi, w ziemi i nad ziemią.

Nie skończyłbym opisu, gdybym chciał tu dowodzić, jak łatwo łączą się i spajają z powyższymi przedmiotami zasadnicze wiadomości z fizyki, o ciepliku, świetle, magnetyzmie i elektryczności i jak w umiejętnym systemacie rzecz tę prowadząc, można uczennicę, która specjalnego wykładu tych nauk nie słuchała, zapoznać z główną ich podstawą i dać jej najpotrzebniejsze i najtreściwsze o nich wyobrażenie.

Inaczej jest zupełnie z wykładem geografii w zakładach publicznych żeńskich, a szczególnie w zakładach naukowych wyższych, gdzie nauki przyrodzone w pewnym obrębie są wykładane. Tu nauczyciel może najspokojniej zawrzeć się w granicach nieściesnionego wykładu samej geografii, z uwzględnieniem tylko myśli która temu wykładowi przyswiecać powinna, w widoku dalszego celu—dokonania wykształcenia kobiety. Sposób praktycznego wykładu, o jakim tyle razy wspominaliśmy, mimo ożywienia i kształcenia za pomocą pięknowzorów geograficznych pojęcia piękna, powinien wrażliw na każdym kroku i przysposabiać uczennicę do zapoznania się z naturą fizyczną danego kraju i wykazywać wpływ natury na zdolności, usposobienia i charakter ludzi ten kraj zamieszkujących. Powinien nareszcie, choćby w najkrótszym geografii starożytnej wykładzie, nietylko przygotować uczennicę do słuchania historii, ale w samym porządku i sposobie wykładu usposobić ją niejako do jej słuchania, a nawet pewien zarys historyczny położyć. Tu właśnie miejsce rzucić pierwsze ziarno pojęć o wybitniejszych cechach cywilizacji kolejno się zmieniających, bo te na gruncie historycznym, do którego uczennica wkrótce ma przystąpić, sowity przynieść mogą owoc. (1).

Klasa I.

a) Obznajomienie ze sposobami używanymi na mapach i globach dla oznaczania gór, łądów, mórz, granic. Wyobrażenie za pomocą rysunku najrozmaitszych kształtów brzegu i ich kierunku. Toż samo rzek, gór i wynikające zład objaśnienie wszystkich terminów oro-hydro-i właściwie geograficznych.

b) Ogólna teoria orografii, jako posady dla kuli ziemskiej. Zależna od gór osada większych łądów, kierunek rzek, ujęcie łądów w masy oceanów, mórz, międzymórz i t. p.

c) Nietylko wyobrażenie, ale i możebne przekonanie ucznia za pomocą rysunku o tem, co stanowi pięknokształt i bezkształtność danej ziemi. Przysposobienie i wprawa w oddawaniu tych pojęć na wzorach najłatwiejszych.

d) Najogólniejsze pojęcia z geografii matematycznej. Przekonanie na przykładach oparte, że pojęcia klimatyczne szerokości geograficznych nie mogą być stałe, zależą bowiem jak od kształtu, tak od stosunku łądów do mórz, rozwartości lub ściśnienia brzegów, sąsiedztwa lasów, błot, pustyń, podniesienia i ponizienia poziomu łądu i t. d.

(1) Nie rozumiem wykładu geografii słowiańskiej, oparte go na samych gołych wylizaniach nazw z któremi się uczeń ma spotkać w historii. Ale wykład ożywiony, mający na celu wskrzeszenie niejako przeszłego świata w umyśle wyobraźni słuchającego, musi się koniecznie spotkać z pewnym planem historycznym, musi obznajomić ucznia z tem, co świat ten starożytny cechowało, musi określić charakter jego potrzeb i cywilizacji, przez wyobrażanie zabytków sztuki pozostałych z przeszłości, albo wreszcie z ruin miast i gmachów, o których tyle można wybrać zajmujących szczegółów i t. p. (Przypisek autora.)

Klasa II.

a) Wyobrażenie, wrażenie, przekonanie i udowodnienie, na czem rzeczywiście polega piękno kształtu Afryki. Zboczenia od tego pięknowzoru prowadzące do bezkształtu, nieforemności i niezgrabności. Opis szczegółowy kierunku gór Afryki, zarysy wód zewnętrznych i wewnętrznych, ich stosunek i zawisłość od pierwszych.

b) Geografia starożytna i nowożytna Afryki (w krótkości).

c) Podobne jak pod a) wyobrażenie piękno kształtu Azji, opis gór, łądów i mórz.

d) Geografia starożytna Azji.

Klasa III.

a) Geografia nowożytna Azji.

b) Wyobrażenie piękno kształtu Ameryki. Opis szczegółowy gór, łądów, mórz.

c) Geografia Ameryki.

Klasa IV.

a) Szczegółowy opis gór, łądów i mórz Europy. Wykazanie przyczyn fizycznych, dla których łąd Europy stał się kolebką postępu w oświacie i cywilizacji.

b) Geografia starożytna Europy.

a) Połowa nowożytnej geografii Europy, ze względem na historią.

Klasa V.

a) Pozostała połowa geografii Europy.

b) Geografia Polski, w ścisłym z historią związku.

Klasa VI.

a) Powtórzenie geografii nowożytnej.

b) *Geografia matematyczna.* Wykład obszerniejszy, któryby zastąpił najniezbędniejsze pojęcia z astronomii, mechaniki ciał niebieskich, stosunku i zawisłości ich od siebie, a zarazem wykazał ich właściwości i cechy odrębne, dla porównania z temiż cechami kuli ziemskiej jako planety.

c) *Geografia fizyczna*, w którejby się systematycznie rozmieściły i skupiły wszystkie wiadomości z geologii, chemii, fizyki, zoologii, botaniki i mineralogii; gdzieby meteorologia możebne zastosowanie znalazła w wytłumaczeniu i zdaniu sobie sprawy ze zjawisk wszelkiego rodzaju.

d) *Geografia polityczna* taka, w którejby przebieg i wykaz dziejów cywilizacji ludzkiej, w stosunku do rozwoju bytu religijnego i towarzyskiego, odzwierciedla-

Tys je lotrze skradł!
Starzec z jękiem padł,
Kasztelanie wściekłym gniewem tchnie.

„Tu! tu w lochu, ty rodzie jaszczurczy,
Chamska duszo! złożysz głowę swą,
Lub gdy głód ci wnętrzości pokurczy,
Może wyznasz gdzie pieniądze są?
Hej waszmoście, czas!
Za mną! czeka nas

Węgrzyn stary—już moździęrze
[grzmią!]

Pośród biesiad ubiega czas
[zdradnie,

Na hulance zleciało dni sześć.
Żyje stary?.... ktoś z czerni za-

[gadnie:
„Ba, gdy umarł nie będziem
[go grześć.

Ojcu miłym był,
Z nim pieniądze krył,
Niech mu stary teraz daje jeść.“

Wtém się wstrzęsły zamkowe
[posady,

Światła zgasły, wieje grobów
[woń;

Tylko oknem miga księżyc blade,
Z drzwi sypialni płynie bla-
[sków toń,

A pośród ich drzeń
Kasztelana cień

Wzrósł olbrzymem, jasność
[wieńczy skroń.

„Ha młodziku! bez serca, bez
[wiary!

Do nędzarzy idź szukać swych
[strat,

Niech ci świadczą. W tém winien
[ten stary,

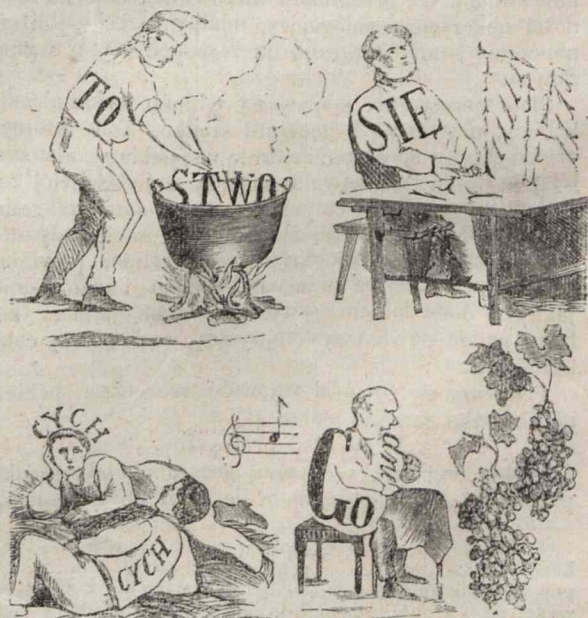
Że me złoto do ich nosił chat;
Zato w mękach on

Dziś miał znaleźć skon,
Boże! Boże! własny syn mój
[kat!

„Bądź przeklętym zbrodniarzu! Kainie!
Coś swych ojców hańbą splamił dom,
Ród nasz przez cię zagaśnie, zaginie,
Bo go zbrodni napiętnował srom.
Gród ten w przyszły czas
Pozarasta las,
Herby przodków w pył potrzaska grom!“

Z hukiem gromów rozwiął się cień męża
Echem groźby wśród nieznanych dróg.
Syn, ściśnięty splotem przekleństw węża,
Na sypialni powalił się próg
Nowy grobom łup,—
Kasztelanie trup.
Złym tej ziemi strasznym sędzią Bóg!...

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 194.
Pogardzi kęsem chleba, kto nie wie o głodzie.
(Dodatek).



ŚWIADECTWO NIEBOSZCZYKA. (Rysował i skomponował Kossak).

dlony, przyprowadził do przeświadczonego wyobrażenia i przekonania o niezaprzeczonych faktach postępu i cywilizacji obecnej rodu ludzkiego.

Julian Kotkowski.

ŚWIADECTWO NIEBOSZCZYKA

(Ballada).

Jęczą dzwony w miasteczku u fary....
Śmierć to głosi pochwycony łup,
W grobie ojców kasztelan leży stary,
Zstąpił z komnat w marmurowy grób.
Prędko minął żal,
Śród zamkowych sal
Huczy stypa, choć ule zastygł trup.

Dymią misy, czereda pijana
Grzmi wiwatem wśród węgrzyna strug;
A w sypialni starego lży Jana
Płyną cicho.—Najwierniejszy z sług,
Wiele przeżył lat
Z panem jako brat,
Śmiercią jedno rozdzielił ich Bóg.

„Pijcie waszmość! toż stary miał grosze,
Zbięrał skrętnie i do skrzyni bił,
Ja talary z ciemnicy przepłoszę,
Tylko z wszystkich pomóżcie mi sił.
Co zgromadził pan,
Wię to stary Jan,
Bo wraz z ojcem pieniądze w lochu krył.

„Hej puszczyku!—sam tu gdzie skarbnica?
Zabierz klucze, do kryjówki wiedz!
Pokaż kędy talary rodzica,
Toć zadługo zżerała je śniedz.
Nuże stary, w lot!
Do żelaznych wrot
Prędzej! bo się srebro zmieni w miedz.

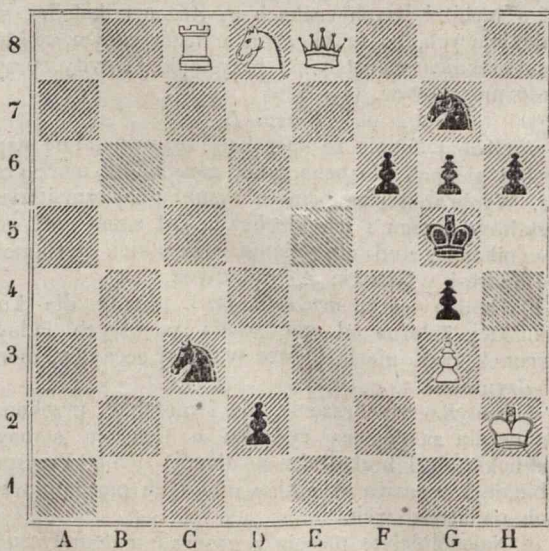
„Ha! toż w skrzyni różaniec i różgi,
Włosienica!... Stary lotrze, gdzie?
Gdzie pieniądze? mów, bo strzaskam w druzgi!
Gdzie pieniądze? Słyszysz, stary psie!

SZACHY.

ZADANIE CLXI.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 160.

Białe.

Czarne.

- 1) B 4—B 5 biorą ♠
- 2) F 4—C 7 ♠
- 3) E 8—C 6 ♠
- 4) C 6—F 3 ♠
- 5) G 6—C 6, albo D 3 D 4 ♠ i mat.
- 1) B 7—B 5 biorą.
- 2) C 5—D 5 (*)
- 3) D 5—C 5.
- 4) E 6—C 7 biorą.

Sprostowanie. W zadaniu szachowym zamieszczonym w N. 194 Tygodnika, chłop biały na G 3 jest niepotrzebny; inaczej bowiem mat nie byłby za czwartym, lecz dopiero za piątym posunięciem.

(*) Jeśli by czarne wzięły królową białą koniem, dostaną przyspieszonego mata, przez posunięcie najprzód pieszka białego z D 3 na D 4, a potem lafra z E 8 na C 6.

KOŚCIÓŁ KATEDRALNY

W WILNIE.

(Dokończenie).

Śmierć biskupa Massalskiego w r. 1794 d. 28 czerwca w Warszawie, spowodowała zawieszenie robót na lat kilka, tembardziej że po zejściu biskupa, spadkobiercy jego odmówili wypłaty summy przez Massalskiego na restaurację katedry przeznaczonej. Właśnie pod tę porę, gdy jeszcze proces ze spadkobiercami nie doszedł do końca, umarł Wawrzyniec Gucewicz, trzeba więc było dalsze prowadzenie robót powierzyć profesorowi Szulcowi, który po ukończeniu procesu z Potoczkami, co po Massalskim dziedziczyli, i przy pomocy ofiar nowego biskupa Jana Kossakowskiego i kapituły wileńskiej, mógł nareszcie dokonać dzieła przez swego poprzednika rozpoczętego.

W dniu 28 września 1801 roku biskup Kossakowski poświęcił ukończoną już wspaniałą budowę.

Katedra zrestaurowana, wewnątrz małym uległa zmianom; Gucewicz przerobił tylko sklepienia, kaplice porównał jedne z drugimi i na podobieństwo ich nowe wystawił, zlał korzystnie różnorodnie części w jedną pełną harmonii i prawdziwego wdzięku całość, jednym je ołtarzem uwieńczył, a środek, czyli właściwy kościół, o trzecią część podniósł wyżej, nieprzerwanym go gymsem doryckim zdobiąc.

Front kościoła składa się z przysionką wspartą na sześciu kolosalnych kolumnach. Zajmuje on całą szerokość kościoła samego bez kaplic. Na szczycie jego fronton trójkątny, ozdobiony rzeźbą wypukłą (ofiara Noego), dłuta snycerza Righi, sprowadzonego do Wilna przez biskupa Massalskiego. Gzmysy na facycie i naokoło kościoła są z ciosowego kamienia, rzeźbą ozdobione. Na dachu frontonu postawione są trzy posągi: św. Heleny na środku, z krzyżem złoconym, a po bokach św. Stanisława i św. Kaźmirza; oprócz tego w niszach ściany frontowej są posągi 4 ewangelistów, Mojżesza i Abrahama, dłuta tegoż samego Righi.

Obecnie katedra ma kształt czworoboku podłużnego, z wysuniętymi na czterech rogach kaplicami, które się kolumnadą lekką po bokach łączą ze sobą, tworząc bokowe przysionki, z których jeden ozdobiony jest posągami 14 królów polskich, a drugi posągami świętych towarzystwa Jezusowego.

Wewnątrz kościół oświetla szesnaście okien w ścianach bokowych i trzy w ścianie tyłnej, z których jedno półkolne nad wielkim ołtarzem. Sklepienie kościoła koszowe, ozdobione rzutami w kasetonach osmiokątnych, wspiera się na dwóch rządach olbrzymich kolumn czworokątnych, rozdzielających kościół na trzy nawy. Oprócz ołtarza wielkiego, wzniesionego na półpięta łokcia, jest jeszcze prezbiterium z ołtarzem kanonicznym, tronem biskupim i stallami prałatów, kratą od reszty kościoła oddzielone i na dwa wschody wzniesione. W ołtarzu wikaryuszowskim mieści się obraz pędzla Franciszka Smuglewicza, przedstawiający męczeńską śmierć św. Stanisława biskupa krakowskiego. Na ołtarzu kanonicznym umieszczono wspaniałe tabernaculum, ze srebra rzeźbione, roboty augsburskiej. Na ścianach bocznych, między pilastrami pod gymsem, spostrzegamy 16 obrazów pędzla Villaniego, przedstawiających sceny z historii świętej starego i nowego testamentu, od stworzenia Adama i Ewy, aż do zesłania Ducha świętego. Na środkowych filarach obrazy dwunastu apostołów pędzla F. Smuglewicza. Całość pełna poważnej prostoty i majestatu zarazem.

W katedrze jest dziesięć kaplic, do których wejście z wewnątrz kościoła. Opisywać wszystkie szczegółowo, nie pozwalają nam szczupłe ramy artykułu dziennikarskiego i dlatego musimy się ograniczyć na pobieżnym opisie tych, które, albo z powodu przywiązanych do nich wspomnień historycznych, lub też dla innych względów, zasługują na szczególną uwagę.

Pierwsze między niemi, bezsprzecznie, zajmuje miejsce kaplica św. Kaźmirza, cała z piaskowca wystawiona, a wewnątrz wyłożona najpiękniejszym marmurem włoskim, zbudowana w porządku doryckim.

Nad kaplicą tą daje się widzieć nad latarnią pod krzyżem spora gałka dętej roboty z miedzi, w ogniu suto pozłacana. Między pospółstwem słyła ona niegdyś za szczyrołotą i to spowodowało zapewne, że w r. 1706 Szwedzi, z okien sal nad bramą zamkową, do tej gałki strzelali. Ślady tego dotąd są widoczne. Powiadają, że pułkownik szwedzki Diekór, przypatrując się przez lunetę uszkodzeniom, przekonał się o fałszywości podania i zapewne dlatego zaczął zaniechać tej zabawy.

Wewnątrz kaplicy dwanaście pilastrów z marmuru brunatno fadrowanego w porządku jońskim zdobią jej ściany. W niszach między płaskostupami są posągi (posrebrzane, jak sądzi uczone badacz staroży-

tności wileńskich s. p. M. Homolicki) mające niejaki podobieństwo do Zygmunta Starego, Władysława Warneńczyka, św. Kaźmirza i innych królów i książąt z rodziny jagiellońskiej.

W ołtarzu jest obraz św. Kaźmirza, paludamentem drewnianym posrebrzany, z frenzlami wylacanymi ozdobiony. Nad tym obrazem umieszczona trumna drewniana, z grubych dylów, srebrnymi blachami (wagi 3000 funtów) obłożona. Trumna ta spoczywa na dwóch srebrnych orłach misterniej roboty i dźwiga na sobie statwę św. Kaźmirza srebrną, z krzyżem w prawej a lilią w lewej ręce.

Na ścianach bocznych kaplicy dwa wielkie obrazy (al-fresco) roboty Dunckersa, przedstawiające wskrzeszenie przez św. Kaźmirza dzieweczki Urszuli i zwłoki tego świętego w trumnie przed eksportacją leżące. Reprodukcyje tych obrazów można widzieć w przepysznym wydaniu p. Wilczyńskiego.

Kaplica ta, niegdyś królewska, pierwotkowo przez Kaźmirza IV Jagiellończyka, pod wezwaniem Boga-Rodzicy, św. Stanisława i Andrzeja wzniesiona, mieściła w sobie groby królewskie. Po pożarze 1530 roku nanowo przez Zygmunta Starego podźwignięta, następnie zaś przez Zygmunta III z ciosowego kamienia, w miejscu gdzie był przechodowy z palacu korytarz, w obszerny kwadrat zbudowana, ostatecznie przez Władysława IV w r. 1636 została ukończoną.

Uroczyste przeniesienie zwłok św. Kaźmirza nastąpiło dnia 14 sierpnia 1636 roku, w obecności Króla Władysława IV, nuncjusza papieżkiego Mariusa Pilonarda i wszystkich znakomych panów i dygnitarzy Litwy i Korony.

Na pamiątkę tego uroczystego obchodu, wprawioną została w ścianę zewnętrzną kaplicy duża tablica marmurowa, uwieńczona tarczą z herbami państwa i stosownym napisem.

W sklepach tej kaplicy spoczywają serce i wnętrzności Władysława IV, zmarłego w Mereczu w r. 1648.

Godną jest uwagi mała przenośna ambonka, w kaplicy św. Kaźmirza stojąca, jako zabytek starożytnej sztuki rzeźbiarskiej. Ma ona kształt kielicha osadzonego na lejącym orle. Z niej to kaznodzieje przemawiali do rodziny królewskiej, która słuchała nabożeństwa z bogatej trybuny ponad głównymi drzwiami osadzonej. Do trybuny tej prowadziła z zamku galerya kryta.

Druga z kolei, biskupią kaplicą zwaną, mieści w wielkim ołtarzu obraz pędzla Jana Borka z r. 1690, przeniesiony z kościoła pod wezwaniem wszystkich świętych. W sklepach tej kaplicy spoczywają zwłoki niektórych biskupów wileńskich, jakoto: Jana z książąt litewskich, Jerzego Tyszkiewicza, Jana Zawiszy, Michała Zienkowicza i Andrzeja Benedykta Kłęgiewicza, zmarłego w r. 1844.

Na szczególną zasługują uwagę pod względem artystycznym dwa obrazy pędzla Czechowicza, znajdujące się w dwóch innych kaplicach. Pierwszy w kaplicy św. Ignacego Lojoli, przedstawia klęczącego świętego, słuchającego w pobożnym ducha skupieniu, słów Chrystusa krzyż męki dźwigającego. Drugi w kaplicy ukrzyżowania przedstawia Chrystusa na krzyżu, dziwnie pięknej roboty, a u stóp Jego Marya Matka Boża i Marya Magdalena, jako wcielenie dwóch boleści.

Kaplica włołowiczowska stoi dotąd nienaruszona w całym swoim składzie, tak jak była wzniesioną przez Eustachego Wołowicza, pod wezwaniem niepokalanego poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

Jest tu po prawej stronie na ścianie nagrobek biskupa, wraz z wmurowaną tablicą marmurową, z napisem: *Violator hujus operis infelix est.*

Powiadają że Gucewicz, przeczytawszy ów napis, nie chciał tej kaplicy restaurować, pomimo nalegań biskupa Massalskiego. Podanie ludowe, łatwo i chętnie szukające wpływów nadprzyrodzonych, przypisuje w pogadankach, które doszły do naszych czasów, smutny koniec biskupa rządzeniu Bożemu, karzącemu go za pogwałcenie nietykalności kaplicy.

Oprócz św. Kaźmirza królewicza, zmarłego w r. 1480, i serca Władysława IV, w kościele katedralnym byli pogrzebani:

- 1) Książę Korygajło Olgierdowicz, zabity w r. 1390.
- 2) Aleksander Wigund, ulubiony brat Jagielly.
- 3) Księżna Anna, druga żona Witolda, zmarła w r. 1418.
- 4) W. książę Witold, zmarły w r. 1430.
- 5) Książę Zygmunt Kiejstatowicz brat Witolda, zabity w Trokach w r. 1440.
- 6) Książę Świdrygiello, pogrzebiony w Wilnie w r. 1452.
- 7) Książę Michał, wnuk Kiejstatów, a syn Zygmunta, zmarły 1452 r.
- 8) Król polski, w. ks. litewski Aleksander, zmarły 1506 r.

9) Królowa Elżbieta, pierwsza żona Zygmunta Augusta, zmarła 1543 r.

10) Królowa Barbara Radziwiłłówna, zmarła 1551 r. Obecnie towarzystwo archeologiczne wileńskie ogłosiło składkę na wzniesienie pomnika sławnej Barbarze, a wykonanie onego poleciło p. Henrykowi Dmóchowskiemu. (1)

W skarbcu katedry wileńskiej wiele jest ciekawych zabytków przeszłości, jak pod względem bogactwa, tak również pod względem pamiątek historycznych do nich przywiązanych.

W. Przybylski.

JAREMA,

studjum

Z WEWNĘTRZNYCH DZIEJÓW GALICYI,

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dokończenie).

XI.

Lasy i pastwiska.

Od tego czasu minął rok cały. Wiele rzeczy stało się w tym roku, a wszystkie wypadły na korzyść naszego szczęśliwego bohatera.

Najprzód w przeciągu kilku tygodni przyznano mu urzędownie prawo do pustki i wprowadzono go, z wielkim tryumfem gromady, w posiadanie téjże, ku wielkiemu zmartwieniu ekonomy i pułkownika. Zdanie więc księdza proboszcza, aby iść drogą prawa i zbytnią uległością nie dawać otuchy uroszczeniom gromady, w części tylko zamierzony odniosł skutek. A że Jarema udało się dziadowiznę swoją z pazurów cudzych wydrzeć, więc wyrósł on w oczach całej gromady na wielkiego człowieka i wiele ócz zwróciło się już ku niemu, jako ku przyszłemu obrońcy gromady.

Jarema wiedział o tem co się w gromadzie święci, i szedł dalej wytkniętą sobie drogą. Najprzód wybudował nową chałupę, postawił stajnię i stodołę. Przeczuwając instynktem, że gromada nie lubi żadnych wyróżnień i że w najwyższym stopniu jest zachowawczą, wybudował wszystkie te budynki w taki sposób, jaki był odwieczną gromady nowowiejskiej tradycją, nie dodawszy do nich nic z tego, co zagranicą widział. Gromadzie to się bardzo podobało.

Idąc dalej w tym kierunku, złożył do skrzynki cały swój ubiór wojskowy, a czapeczkę powiesił na kołku, aby ją miał pod ręką, gdy pora się wydarzyć. Według jego bowiem wyobrażenia była ona talizmanem nietykalności. Nateraz zaciągnął na siebie siermięgę takiego samego kroju, jaki przyjęty był w gromadzie, a na kędzierzawe swoje włosy włożył kapełusz słomiany. Tak zwany „lajbik“ zdjął także, i wszędzie poodpruwał nawet guziki cynowe, które świadczyły o jego stanie żołnierskim.

Zrównawszy się tym sposobem z gromadą i przyjąwszy napowrót czysty jej język, bez wszelkich cudzoziemskich dodatków, przyszedł w gromadzie do wielkiej konsyderacyi i widocznem było już na schadzkiach w karczmie, że w koło niego zaczęto się grupować. A gdy do tego jeszcze koło pustych gruntów swoich dobrze się zawiął, a wykupiwszy nawóz po wszystkich karczmach sąsiedzkich, doskonale je sprawił i ozimną obsiał, nazywano go już prawie jednogłośnie najlepszym gospodarzem, do czego przyłączała się także wieść tajemna, że na wojnie ogromne zebrał pieniądze, a w mieście obwodowem razem z panem kommissarzem cygare pali.

Prócz tych dodatków, gromadzkich przymiotów, i w towarzyskiem pożyciu rozwinął on powoli przewagę swoją nad innymi, która wkrótce wysunęła go na najwyższy szczebel w gromadzie. Gdy bowiem gromada piła, on pił za dziesięciu, gdy się gromada biła, on najwięcej nosów porozbijal, a gdy w gromadzie było wesele, on przewodził tańcom i śpiewał skrzypkami pod nutę. Wprawdzie miał do walczenia z niebezpiecznym rywalem Hrehorym, wójtem gromady, ale gdy raz wyzwał go w obliczu gromady do bójk i pod stół go zapełal, wybiwszy mu wprzód dwa zęby, Hrehory podał mu na drugi dzień rękę do wieczystego przymierza, a gromada jednogłośnie obrała go już w ducha za przywódcę i obrońcę praw gromadzkich.

Tym sposobem w bardzo krótkim czasie wyrósł Jarema na pierwszego gospodarza w gromadzie, a że miał u starosty dobre zachowanie, a więcej jeszcze sam o tem mówił, nachylały się powoli wszystkie nadzieje ku niemu; widziano w nim bowiem jedynego człowieka, jakiego właśnie potrzebowała gromada-

(1) Umarł niedawno. Czy dokończył pomnika, nie wiemy. (Przyp. red.)

da, o czém często prawil im suchy mecenas i przyjaciel jego byli Amdsiner.

Niewiele miał pan kommissarz obwodowy zachodu, gdy do Nowejwsi przyjechał i Jarema na wójta zaliczył. Gdy przyszedł czas po temu, jednogłośnie obrano go wójtem.

I tak wszyscy byli zadowoleni. Starosta pochwalil gromadę, że takiego człowieka wybrała i spokojnie położył się do łóżka, w tém przekonaniu, że w najlepsze ręce złożył interesa publiczne. Kommissarz był także kontent z siebie, że życzeniem starosty zadość uczynił. I gromada i Jarema byli kontenci z siebie, bo gromada wierzyła teraz, że Jarema wszystko dla niej wyprocesuje, a Jarema takie samo o sobie miał wyobrażenie, bo prawem było u niego tylko to, co stanowiło korzyść gromady.

Stanawszy na najwyższym szczeblu godności w gromadzie, uczynił zadość dawnym marzeniom swoim i Nastkę jasnowłosą do ołtarza poprowadził.

Aby jednak w tym zenicie szczęścia nie mu słodkich dni nie zatrzymało, postanowił jeszcze czegoś dokonać.

Dwaj synowie Nastki, a mianowicie Szymek, który twarzą przypominał mu najgłośniejszego wroga, przeskadzali jakos jego szczęściu. Miał on do nich wstręt, którego sobie nie mógł wytłumaczyć. Chcąc przeto z oczu ich usunąć, pomyślał że najlepiej dla nich zrobi, gdy ich do wojska odda, gdzieby tę samą, co i on przeszli szkołę. Aby to jednak z jego strony nie wyglądało na nieludzkie pozbycie się pasierbów z domu, wyliczył im w „werbbeckyrku“ po sto reńskich monetą konwencyjną, własną ręką pod miarę postawił i ostrzyżonych do kazarni odprowadził, gdzie ich opiece znajomego feldfebla polecił.

Tak uporządkowawszy swoje interesa, dał na mszę świętą i gorącą modlitwą podziękował panu Bogu, który tak różnemi drogami zaprowadził go do łaski wójtowskiej i Nastki jasnowłosej.

We dworze w tym roku także wiele zmieniło się rzeczy. Wdowa postarała się w kłopotliwym swoim położeniu. Urodzaje chybiły, wydatki pomnożyły się, bo Jadwiga była już panną na wydaniu. Pan Władysław osiadł wprawdzie na pustkach i szczerze wziął się do roboty, ale ziemia niemal przez pół wieku zapuszczona, okazała się bardzo niewdzięczną, czyli raczej mściwą za złe z nią wychodzenie. Pochłaniała znaczne wkłady, a nie wracać nie chciała. Pułkownik radził jak mógł, lecz wszystko chybiało jakoś celu i nowo-utworzony folwarczek weale się nie udawał. Zwał na to wprawdzie na niecierpliwosć pana Władysława, który więcej myślał o Jadwidze, jak o gruntach, ale w końcu przekonał się, że długo na tej pustej ziemi popasać nie można i czempredziej trzeba do panienci generalny szturm przypuścić. I Jadwiga zdawała się wyczekiwać tego szturmu, bo już cały zapas książek pana Władysława przeczytała, i z każdym dniem coraz więcej mówiła o klasztorze, co według przekonania pułkownika najlepszą jest porą do ataku i zwycięstwa. A gospodarza koniecznie potrzebowała wioska, bo gromada do gruntów i lasów dominialnych coraz większe rościła sobie pretensye.

Wdowa z własnego popędu darowała gromadzie część pastwiska i kilkadziesiąt morgów lasu; ale gromada podzieliła się pastwiskiem i zorała je pod siebę, las wycięła, wykarzczowała i także podzieliła między siebie, a do lasów i pastwiska dominialnego rościła sobie znowu pretensye.

Powiedzieliśmy już wyżej, że z pańszczyzną odpadły gromadzie różne korzyści, które miała z pastwisk i lasów dominialnych. Strata tych korzyści była dla gromad bardzo dotkliwą, a dla niektórych osad nawet wielkim nieszczęściem. Chudoba gromadczą, owo jedyne bogactwo chłopów, została zagrożona śmiercią głodową. Ztąd powstały liczne procesa, a wyznaczone ku temu kommissye zbyt powoli postępowały. W Nowejwsi jednak kommissya serwitutowa wydała już wyrok w spornej między dworem a gromadą kwestyi, i pola używane dotąd na pastwiska, przyznała dworowi. Gromada widziała we wszystkim tém niesprawiedliwość sobie wyrządzoną.

Otóż to dawne pastwisko poradził wdowie pułkownik poorać i zbożem obsiać. Sądził on, że na nowinie obfity zbiór będzie, a powtóre chciał tym sposobem odebrać gromadzie wszelką pokusę do wyganiania bydła na te pola, jak to było zwyczajem za czasów pańszczyznianych.

Gromada z załamaniem rękami patrzyła na plugi które te pola orały, i przysięgała w duchu zemste, gdy czas będzie po temu. O prawie własności dworu do tego gruntu nikt jej nie przekonał, a ludzie których się radziła, odpowiadali jej półgębkiem, ruszając ramionami, co gromada po swojemu sobie tłumaczyła.

Mimo jednak tej wzrastającej coraz więcej niechęci gromady, wytrwała wdowa w powziętym raz zamysle i z szczyptych swoich funduszów założyła szkółkę dla dzieci wiejskich. Gromada jednak nie widziała w tej fundacyi żadnego dobrodziejstwa, bo jej ktoś powiedział, że to jest obowiązkiem każdego dworu. Zresztą nie widzieli oni w tej instytucyi żadnych korzyści, przeciwnie pozbawiała ich ona usługi dzieci, które ten czas w szkole przesiedzieć musiały.

Jarema był niezadowolony w sprawie gromady. Wiele rzeczy udało mu się przeprzeć u starosty, naczelnika powiatowego, a nawet i we Lwowie. A po każdej wygranej sprawie rosła sława Jaremy, i on sam rósł w oczach swoich, i zdawało mu się, że w danym razie mógłby daleko więcej dokazać.

W takim to położeniu zaskoczyło nagle dwór i gromadę nadzwyczajne zdarzenie.

Ogłoszono że sejm konstytucyjny ma się zebrać we Lwowie i radzić o dobru kraju, i wieść ta wszystkich napełniła radością.

Wyznaczono czas wyborów na posłów do tego sejm i odnośnie do tego prace natychmiast przedsięwzięto.

Zaczęły się agitacye, pozawiazywały komitety, przedstawiono kandydatów i zaczęto w ich imieniu agitować. Po miastach zbierały się sekcyje, na prowincyi delegacye gromad i miasteczek.

Gromada nowowiejska przyjęła wiadomość o sejmie zrazu z bojaźnią; powoli jednak uspokojono się, a gdy Huber i mecenas powiedzieli im, że mogą wybrać do sejm kogo chcą i w kim największe zaufanie pokładają, byli nawet kontenci z tego, że będą mieli sposobność upomnieć się publicznie o swoje krzywdy prywatne. Wyższego wyobrażenia o sejmie i interesach krajowych nie miała gromada Nowejwsi, która w tym względzie podobną była do każdej innej galicyjskiej gromady.

Wreszcie i dla gromady Nowejwsi nadszedł czas wyborów.

W tym celu mieli się zejść wyborcy w najbliższym miasteczku, które także, razem z kilkoma gminami, jednego posła obrać miało.

Prosty rozum chłopów dyktował im, aby chłopów wybrać. Mieli oni do swego największe zaufanie, a w razie zawodu, mieli także i pewne prawo regresu, czy raczej sposobność do regresu.

Wszystkie więc gromady miały gotowych już kandydatów. A kandydatem takim zazwyczaj był chłop, używający w gromadzie największego poważania. Musiał to być dobry gospodarz, silny w pięści i odważny, i musiał dać dowody, że dobro gromady nade wszystko ceni. Musiał jej wygrać jakiś procesik, a przynajmniej mieć sławę człowieka, który gdy tego potrzeba, wszystkiego dokazać może. Przymiotów zaś tych nabywał on w gromadzie różnym sposobem. Jeśli udało mu się w krótkim czasie przysporzyć majątku, jeźli zręcznym sposobem kogo wydziedziczył, a do tego jeszcze był w wojsku i nie przyszedł do wsi „szubpasem“ to już mógł liczyć na całą gromadę. Mały epizodzik życia, który przepędził w areszcie lub czasem w kryminale, nie wchodził w rachubę gromady, bo gromada jest tego przekonania, że nieszczęście nie chodzi po lasach, tylko po ludziach.

Ale niekażda gromada ma takiego męża zaufania.

Często kilka gromad składa się na takiego człowieka, a wtedy jest on u nich prawdziwym królem. A człowiek taki udaje zawsze że nie stoi sam jeden, mówi zawsze do nich, że ktoś jest za nim, którego on wolę pełni, a mówi to im w sposób tak tajemniczy, że gromady tylko instynktem znaczenie tych słów odgadywać muszą.

Między gromadami które z Nowąwsią głosowały, było kilku takich mężów zaufania; ale nad wszystkich przeważał Jarema rozgłosną sławą swoją. Skupili się więc wszyscy koło niego, jak kureczka koło kwoki, gdy się obawiają jastrzębia.

A jastrzębiem tym był w tej chwili w ich oczach kochany nasz pułkownik. Na długich nogach, z wysokim halsztukiem, wszedł między nich i przedstawił się im na kandydata. Już sama postać pułkownika i jego bekiesza z ogromnemi guzami, nie podobała się gromadom, a gdy jeszcze zaczął mówić o wojskowej swojej karierze, o bitwach w których walczył, o Napoleonie i Samosierze, dodawszy do tego niektóre aforyzmy o przemyśle i naukach, gromady nie dały mu dokończyć, wołając, że takiego posła nie potrzebują.

Po nim wystąpił dziedzic z Zamszyna, człowiek bogaty i prawych obywatelskich zasad. Mówił on wiele o różnych sprawach; ale także jakoś w myśl gromady utrafić nie umiał.

Delegacye gromad naradzili się między sobą i zgodzili się w tém, że nie mogą obierać dziedzica ani

żadnego pana, bo pan nie będzie nigdy bronił interesów gromady.

Przed wyborców wystąpił teraz proboszcz obrządku łacińskiego z Zagrody, którego znamy z dworu nowowiejskiego.

Mówił bardzo pięknie i cytował przesliczne miejsca z pisma św., zachęcające do zgody i wzajemnej miłości.

Ale wyborcy pokiwali głową i rzekli, że w tém wszystkim nie widzą interesu gromad. Naradziwszy się więc między sobą, powiedzieli, że muszą wybrać włościanina na posła, a tym ma być Jarema, który zna drogę do Lwowa i do Wiednia, a u pana starosty w wielkim jest zachowaniu.

Lecz kiedy tak mówiono, zjawił się na arenie nowy zapasnik. Kandydatowi temu przygotowano już nieco drogie.

Był to wikary z sąsiedniej wioski, obrządku grecko-katolickiego. Występował on jako kandydat stronnictwa rusińskiego, a że przeważna liczba wyborców gromad była obrządku grecko-katolickiego, więc wikary największą miał szansę.

Nowy ten kandydat był słusznego wzrostu, chudy, z wystającymi na twarzy kościami. Włosy czarne, kędzierzawe i oczy szybko biegające, oznaczały gorący temperament.

Mówił długo o rzeczach dawnych i nowych; ale gromady nie słuchały ani dat historycznych, ani aforyzmów i zawołały tylko chórem:

— „Lisy i pasowyska!“

Wtedy Jarema wystąpił z tłumu i błady z rozrzewnienia ozwał się:

— Hromady! toj swiaszczennyk dobre mowyt. Najwin yde do Lwowa. Win je pysmennyj.

Tak piękna rezygnacya, świadcząca o dobrym gruncie ludu naszego, zaimponowała gromadom. Mowa wikarego podbiła ich serca, ale Jaremie przyobiecały dać głosy. Dobrowolne jego ustępstwo, zjednało mu sławę.

Radzili między sobą wyborcy gromad czas niejaki, a że u włościan naszych nad wszystko inne przeważa nieufność, więc zgodzili się na to, aby wikaremu dać głosy na posła, a Jarema, jako kontrolera i odpowiedzialnego gromadom za to co się we Lwowie stanie, wspólnym kosztem wysłać do Lwowa.

A gdy w kilka godzin potem z urny wypadł rezultat i wikary jako poseł ogłoszony został, zabrzmiały pod niebo okrzyki włościan i w całym kraju ozwało się echem:

— „Lisy i pasowyska!“

XII.

Rozczarowania.

Za kilka dni wyjechał wikary do Lwowa, a wszystkie okoliczne gromady odprowadzały go aż po kopce ostatniej wsi, której był posłem. Obok wikarego jechał Jarema, w nowej sukmanie i w dużych, pod kolana sięgających butach. Z całego zachowania się gromad widać było, że on właściwie był bohaterem tych wszelkich owacyj, milczącym Mojżeszem, podczas gdy wikary był tylko wymownym Aaronem.

Od kopców wsi ostatniej wróciły gromady i rozeszły się do sadyb swoich w tém przekonaniu, że otworzy im się wstęp do lasów i pastwisk dominialnych.

Tak lud galicyjski pojął ów zwrot w dziejach Austrii, ów październikowy patent cesarza. Nie było nikogo, coby mu ową wielką reformę państwa wytłumaczył, a tym, którzy mu ją tłumaczyć chcieli, nie wierzył. Przeciwnie, zjawili się fałszywi apostołowie, którzy cały ten zwrot w państwie starali się ludowi na niekorzyść jego wytłumaczyć, a kilka wyroków sądu i okólniki najwyższej w kraju władzy, tak świeckiej jak i duchownej, dowiodły, że to nie były tylko czcze obawy i płonne mary.

W gromadzie nowowiejskiej powstała także trwożka z powodu podobnych wieści. Ale Jarema napisał ze Lwowa list własnoręczny, w którym uspokoił gromadę o tyle, że póki on we Lwowie, póty gromadzie ani włos z głowy nie spadnie.

Uspokoila się gromada, a że to właśnie wiosna rozpoczynała się, spokojnie więc wzięto się do pracy o kolo pola.

W nadziei że lada dzień przyszele im Jarema ze Lwowa rozkaz cesarski, że mogą z lasów dominialnych brać sobie drzewa ile potrzeba, a na pola dworskie wypędzać bydło swoje, zniesiono system uprawy roli, i zoran pod siebę wszystko, co tylko plużem osiągnąć można było. Na paszę, na pastwiska dla bydła gromadzkiego nie zostawiono ani piędzi ziemi. Tymczasem wypasano rowy i szerokie miedze, i na powrót lub pismo Jaremy z największym czekano spokojem.

Prosty rozum ludu wytłumaczył sobie całą sprawę w ten sposób, że im należą się pola i lasy dworskie i że na ten raz nie sprawiedliwszego niema nad ich skromne żądanie, aby im otworzono do użytku lasy i pastwiska dominialne.

W takićj to zyjąc nadziei, poorała gromada nowowiejska wszystkie pola pod siebę i spokojnie wy-czekiwała wyroku ze Lwowa, któryby ich prawa niezbito do pastwisk i lasów dominialnych zatwierdził.

Wyroku jednak tego nie było widać. Gromadzie dawał się już czuć brak paszy. Wysłano dwóch gospodarzy do Lwowa, aby się z Jarema w tym względzie naradzili. Gospodarze wrócili i pełni zachwycenia opowiadali gromadzie, jak widzieli Jarema w sali sejmowej siedzącego w łoży czerwona wybitęj materya, obok jakiejś pani hrabiny. Opowiadali dalej, że słyszeli jak poseł z innej gromady, chłop Zahorajko, powstał i o „lisy i pasowyska“ do panów przemawiał, ale panowie zakrzyczeli go, jak to im wytłumaczono. Widzieli także i Kowbasiuka i niejakiego Siwca, który także jest chłopem, choć we fraku chodzi i w kancelaryi urzędowej pisze, a o którym sam pan kommissarz pisał, aby wybór jego na posta fortytować.

W sprawie zaś lasów i pastwisk uspokoił ich Jarema, aby jeszcze czas niejaki czekali, że w końcu on to wszystko wyjedna, jeżeli nie we Lwowie, to w Wiedniu. Powiedział im także, iż wikary tak samo mówi na sejmie, jak mówił przed nimi i że dlatego kontent jest z niego.

Gromada wysłuchała w milczeniu wysłanników i cieszyła się, że Jarema siedzi w łoży karmazynem wyscielonej, że wikary tak samo mówi w sejmie jak przed nimi, i że Zahorajko, Kowbasiuk i Siwiec, chłop we fraku, tak dobrze sprawy gromadzkiej bronią. Ale radość ta niedługo trwała. Do karczmy zaleciał z wiatrem ryk głodnej chudoby: wszyscy spojrzeli po sobie i posmutnieli.

Kilka tygodni czekano w milczeniu, a od Jaremy jak niema tak niema żadnych wieści. Chudoba zeschła, boki pozapadały się krowom, koniom, wołom, a tu znikąd niema rady.

Wreszcie pewnego wieczora radosna wieść obiegła chaty wieśniaków: Jarema wrócił!

Czémże on był dzisiaj w ich oczach? Jakież buletyn przywiózł z sobą?

Co tylko żyło, obstało go dokoła. Młodzi i starzy, kobiety i dzieci stanęli w koło niego, ile ich tylko karczma pomieścić mogła, a reszta przez drzwi i okna poglądała na wielkiego człowieka, który siedział w łoży karmazynowej, a teraz ostateczny dla gromady przywozi wyrok!... A wszyscy milczeli, nikt ani słówkiem nie zapytał go; czekali tylko, patrząc z konwulsyjnym wyrazem na usta jego, kiedy je otworzy i mówić zacznie.

Ale Jarema nic nie mówił. Stał zachmurzony, jakby coś strasznego w głowie ważył. Usta jego były blade, mocno zacienione. Z pod włosów kędzierzawych ciekł mu pot po skroniach, jakby od jakiejś ciężkiej wstał roboty.

Wyciekawszy tak czas niejaki, ozwał się głosem przytłumionym:

— Hromada!... Wieczorem przyszedłem do wsi naszej i zdaleka słyszałem już jak biedna chudoba nasza w stajniach ryczy za garścią trawy... Serce moje ścisnęło się, że tyle krzywd cierpieć musi gromada!... W żadnej chałupie nie widziałem ognia, przy którymby kobieta mogła strawę uwarzyć wracającemu od pluga gospodarzowi... A cóż dopiero będzie, gdy zima przyjdzie, a obejścia nasze śniegi zawieją?... Wszystko to widziałem i słyszałem, ale cóż wam powiem na pociechę?... Oto na sejmie nie dla was nie zrobiono, o lasach i pastwiskach nie dali nawet radzić. Kilku pojechało do Wiednia, aby tam jeszcze radzić, ale mnie mówiono, że i z tego nic nie będzie.

Zatrzymał się chwilę, głębokie milczenie panowało wokół. Była to chwila wzrastającej rozpacz, która zwolna coraz więcej ścisnęła serce, napojone fałszywą nadzieją i tak długo złowrogimi podseptami rozdrażnione. Wszyscy uculi razem, jak im w pierśiach ból wzrasta, jak się szerzy i za serce chwytają...

Pierwsze kobiety przerwały milczenie. Wybuchły płaczem i narzekaniem i zawodziły boleśnie za chudobą swoją, która teraz marnie zginie, za piękną kossoną krasuchą, która niegdyś tyle mleka dawała, za wesołą bitunią, która zawsze szła na czele bydła, za jednorogą czarnochoją, która z dziećmi lubiła się bawić. A te biedne owczęta, kozy i konie, z czegoż to wszystko wyżywić i co się z tego wszystkiego stanie, gdy przyjdzie ciężka w polu robota?...

Tak narzekały kobiety, płacząc i zawodząc, a gospodarze stali w milczeniu ponurym, z zacienionymi pięściami.

A Jarema mówił dalej co widział, gdy wieczorem zbliżał się do wsi. Widział jak na tych polach, na których niegdyś bydełko gromadzkie tak wesoło się pasło, bujna, zielona zeszła pszenica, że i ciele by się w niej już schowało, pszenica pańska, z której we dworze będą jedli kołaczki... Mówił dalej, jak widok tej pszenicy i dawne wspomnienia mocno go zabolowały, że taka niesprawiedliwość może tak długo przynęcać biedną gromadę.

A kiedy spostrzegł, że między gospodarzami wszczął się już szmer, że pięście zaciskają się i wznoszą do góry, rzekł do nich:

— Zaczekajcie hromada! Terpyłyśmy tak mnócho lit, zaczekajmo szcze troche. Ja teper pijdu wid was, a koły przyjdu tohdy—budem znaty szczo zrobity.

I wziął za kapelusz i zwrócił się ku drzwiom. Cała gromada w milczeniu wyszła za nim. Nikt go o dalsze jego plany nie pytał, bo wszyscy byli tego zdania, że Jarema działa za wyższą jakąś radą, która tylko dobro gromady może mieć na celu. Ślepo więc uwierzyli słowom jego, że jak wróci, to będzie już inaczęj.

I jeszcze tej samej nocy zniknął gdzieś ze wsi Jarema.

I nie było go dwa tygodnie.

Był to dzień piękny, gorący. Śpiew skowronka wznosił się ku niebu, które było czyste i jasne jak oblicze Stwórcy. Lekki wietrzyk przesuwał się śród gałęzi lip i topoli, a w powietrzu unosiła się woń kwiatów, która kołysała duszę w słodkich marzeniach.

We dworze nowowiejskim był to dzień uroczysty: obchodzono urodziny wdowy. W tym dniu miały się także odbyć zaręczyny Jadwigi z panem Władysławem.

Już zrana zawitali najbliżsi sąsiedzi i przyjaciele: pułkownik i proboszcz. Wdowa wyszła naprzeciw nim w stroju żalobnym i rzekła:

— Dzień dzisiejszy jest roskoszą dla serca matki ale roskosz tę muszę czémś okupić.

— O dla Bogal! zawołał pułkownik, może znowu co dla chłopów, dla tych ludzi niewdzięcznych!

Ale spojrzawszy na proboszcza, zamilkł nagle, bo proboszcz już gotował się do repliki, w czém zawsze przegrywał poczciwy pułkownik. Tym razem jednak zabił proboszcz nieprzyjaciela własną bronią jego:

— Jak to, kochany sąsiedzie, ozwał się z usmiechem, toż pragniesz sam tylko ludowi świadczyć dobrodziejstwa, a nie chcesz na to wdowie zezwolić? Któż przy kommissyi serwitutowej tak szlachetnie obzedł się z gromadą, jak ty mości pułkowniku? Dałeś jej sto morgów lasu i pięćdziesiąt pastwisk!

— A wiesz jegomość, jaką wdzięczność mam za to od gromady? krzyknął pułkownik i nabiegł krwią aż po brzeg halsztuka. Procesują mnie teraz... mówią że im się więcej należy. Do króć tysięcy beczeł!...

Proboszcz zażył prędko tabaczkę, bo poczuł łzę pod powieką i rzekł po chwili do wdowy:

— Cóż pani dobrodziejka na to?

Wdowa westchnęła, cień smutku przebiegł po jej bladej twarzy. Po chwili jednak wypogodziła czoło i rzekła z anielskim usmiechem:

— Ja wytrwam przy swoim przedsięwzięciu. Lud, dla którego chciałam wiele, bardzo wiele poświęcić, wziął się na męża mego i do dziś dnia ciągle mi dokucza. Dałam im kawałek lasu, a gromada ten las w jednym miesiącu wyrabiała, drzewo sprzedała, i grunt rozdzieliła po kawałku między siebie. Dzisiaj znowu odgrają się ciągle na moje lasy... Pan Władysław dał im grunt z dwóch pustek na pastwiska. Oni znowu podzielili grunt darowany między siebie, a o pastwiska wołają w niebogłosy... Wszystko to jednak nie zmieni mego przedsięwzięcia.

Proboszcz ujął wdowę za rękę, a na pułkownika spojrział tryumfująco. Po chwili rzekł:

— Stokrotne dzięki pani za te słowa pociechy dla skołatanego serca mego.

Tymczasem weszli do pokoju Jadwiga i Władysław. Słyszeli oni rozmowę w przybocznym pokoiku.

— A my, ozwali się naraz, zgadzamy się z mameczką i księdzem dobrodziejem.

— A ja dołączam jeszcze do tego i zdanie pułkownika, dodał pan Władysław, całując w rękę wdowę.

Pułkownik tryumfująco spojrział na proboszcza. Był kontent, że przecież wszystkiego nie przegrał z kretesem. Tymczasem ozwała się wdowa:

— Dziś, w dniu mych urodzin, pragnę dobrym uczynkiem podziękować Bogu za tę radość, którą mię udarował. Widziałam wczoraj, że pszenica na dawnym pastwisku ślicznie się udała. Przenaczam więc trzecią część plonu z tego zbioru na moje szkółkę

dla dzieci wiejskich; i tak potrzeba różnych książek i zachęty dla nich do nauki.

— A ja, ozwała się śliczna Jadwiga, chcąc dzień dzisiejszy mameczce umilić, zmówiłam się z naszym profesorem i z księdzem proboszczem, którzy wyprawiają w szkółce egzamen z dziećmi, aby się popisać z tém, czego je dotąd już nauczyli. Sądzę że większej radości nie mogą mameczce czém inném sprawić.

Wdowa poczuła łzy w oczach, a pochyliwszy głowę ku Jadwisi, rzekła całując ją:

— Złote dziecię moje! Niech ci Bóg zachowa to piękne serce na pociechę, gdy przyjdą dni smutku i żaloby...

Nie mogła dłużej powstrzymać się i tylko gestem poznać dała, że jest gotową iść do szkółki, w której na gości czekał już wraz z dziećmi nauczyciel wiejski.

Dzieci przyjęły gości ułożonym na ten cel przez nauczyciela śpiewem, a egzamen rozpoczął się według napisanego na tablicy programu.

Biedna wdowa zalewała się łzami, widząc postępy nauki, a pułkownik siedział napozór zimny i znużony tą całą robotą; ale jakoś z coraz większą uwagą przysłuchiwał się tej uczonej gadaninie, myśląc sobie w duchu:

— Proboszcz człowiek uczony, on wie więcej ode mnie. Może ja tego nie rozumiem.

I z wesołą twarzą słuchał już dalej sztuki czytania i rachowania, a gdy mu Jadwiga wetknęła do ręki różne dla malców podarki, poczciwy pułkownik omal nie rozplakał się z radości, gdy go dzieci w rękę całowały, za co wywdzięczając się emoktał na głos rozczochrae czupryny chłopców, aplikując im różne swoje aforyzmy o Napoleonie i Samosierze.

Wesoło wrócili wszyscy do dworu wraz z nauczycielem, którego na obiad zaproszono.

We dworze zastali kilku gości z sąsiedztwa, którzy wdowie dnia urodzin i zaręczyn córki życzyć przyjechali.

Serdecznie, z szczeropolską prostotą i gościnnością, bawiono się aż do wieczora.

Wieczór był cichy, przesliczny. Księżyc świecił na niebie, mirady gwiazdek mrugały z błękitnego sklepienia.

Woń kwiatów i roślin napełniała powietrze. Wdowa zaproponowała gościom przechadzkę na wzgórze, gdzie stał krzyż kamienny.

Wszyscy wybrali się ze dworu i długą lipową aleją dążyli do tego samego wzgórza, na którym przed laty dwudziestu widzieliśmy Jarema pośród pastuchów i kommissarza z swoim towarzyszem.

Wesoło postępowała drużyna; z każdego niemal krzaka odzywał się słowik. Jakoś pogodnie było w sercach.

Wreszcie zdążyli wszyscy do drogi na wzgórzu.

Na drodze pod lipą zabłysło coś nagle. Pułkownik z Władysławem zbliżyli się do lipy—byli to żandarmi uzbrojeni.

Wszyscy zdziwili się, widząc ten posterunek. A w tej chwili zbliżył się z drugiej strony jakiś jegomość w czapeczce urzędowej i rzekł do nich zicha, aby czempredzej do dworu wracali, albowiem, przyszła wiadomość do urzędu, że gromada nowowiejska chce przemocą lasy i pastwiska dominialne odebrać.

Proboszcz i pułkownik wzięli natychmiast kobiety pod rękę i zawrócili do dworu.

Nim jednak jeszcze urzędnik skończył mówić, zaleciał od strony wsi jakiś głuchy szum do uszu stojących na wzgórzu. Było w tym szumie coś strasznego, coś okropnego. Wszyscy struchleli i stanęli jak wręci z przerażenia. A szum rósł coraz więcej, rósł w jakąś dziwną, nieodgadnioną wrzawę...

Kiedy niekiedy tylko dwa zrozumiałe słowa odrywały się od tej wrzawy:

— „Lisy i pasowyska“!...

I zbliżył się cały pochód do wzgórza, zbliżyły się tysiące sztuk bydła i wszystko co tylko żyło w gromadzie do pola z dworską pszenicą, na którym niegdyś było wspólne pastwisko.

Urzędnik i żandarmy wybiegli na drogę i stanęli przed pochodem.—Na pered! wołało tysiące głosów. Żandarmi zniżyli broń i naciągnęli kurki.

Urzędnik wystąpił naprzód i rzekł do gromady, że przychodzi tutaj w imieniu rządu, aby gwałtów żadnych nie dopuścić.

Widok urzędnika zrobił na gromadzie pewne wrażenie. Milczenie Jaremy, jego mistyczne, niewyraźne słowa, jakie nieraz w karczmie od niego słyszeli, każały im się domyślać, że za nim stoi ktoś inny, który ich ma w bezpośredniej opiece.

Toż niemałe było ich rozczarowanie, gdy urzędnika i żandarmów ujrzeli przeciw sobie.

Ale to trwało tylko chwilę.
— Gdzie jest wójt? zawołał urzędnik, korzystając z chwilowego wrażenia.

— Tu jest! zawołał groźnie Jarema. Albo co?

— Imieniem rządu, imieniem starosty nakazuję ci Jarema, zawołał urzędnik, abys natychmiast gromadę do wsi zawrócił!

— Oho, ho! krzyknął Jarema, machając drągiem, wid toho ne widstupym pane komisare!

— A tak! tak! tak! ozwalo się tysiąc gardzieli mężczyzn, kobiet i dzieci. Na pered, Jarema, na pered! Nasze lisy i pasowyska!

Urzędnik usunął się aż do bagnatów żandarmów i rzekł do Jaremy:

— Wszak dziedziczka dała wam część pastwisk dominialnych i te macie.

— Nam się całe pastwisko należy i lisy nam się należały zawołał gromowym głosem Jarema.

— Oho, ho! wrzasnęły tłumy, nasze lisy i pasowyska! Na pered Jarema!

Urzędnik chciał jeszcze coś wytłumaczyć gromadzie, ale krzyk i wrzawa zagłuszyły go. Tłumy zaczęły się ruszać i przec naprzód.

Krzyk i wrzawa zagłuszyły wszystko; massa cała ruszyła się w pochód; skrzydła rozszerzały się coraz więcej.

Urzędnik uznał dalszą obronę majątku dominialnego za bezskuteczną i cofnął się pod lipy wraz z żandarmami. A tymczasem cała tłuszcza z tysiącem sztuk bydła rozlała się po łąkach pańskich, jak rzeka nagle wezbrana.

Zgłodniałe bydło rzuciło się na młode zboże, a piękne, bujne obszary zielonej pszenicy, zamieniły się w oka mgnieniu w jakieś dziwne, okropne pobojo-wisko.

A z tysiąca gardzieli wydobywał się straszny krzyk wśród nocy:

— „Lisy i pasowyska!”

A wśród tego okropnego krzyku zabłysnęła jeszcze łuna na nocnym niebie. Sterty siana i budynki gospodarskie dworu stały w płomieniach....

Urzędnik i żandarmi rozbiegli się, aby najbliższym urzędowi dać o tém wiadomość i wezwać ich pomocy. Telegraf zawiadomił o tém najwyższą władzę w kraju. Nakazano przedsięwziąć środki najsurowsze.

Nad ranem przybyła na miejsce gwałtów znaczna siła zbrojna, batalion piechoty i szwadron huzarów, a w godzinę za nią przybył sam starosta.

Był to piękny, pogodny ranek. Powóz starosty stanął na tém samym miejscu, na którym przed laty dwudziestu stał jego wóz forszpanowy, kiedy małym będąc urzędnikiem, stał się świadkiem owej niewinnej kradzieży Jaremy....

Ale dzisiaj nie była pora potemu, aby sobie przypominać co się przed laty dwudziestu działo. Zagrozało wielkie niebezpieczeństwo, bo z okolicy przychodzili wieści zatrważające.

Batalion więc wyszykował się czempredziej z jednej strony, a z drugiej stanęli gotowi do szarży huzary.

Urzędnik wezwał gromadę do posłuszeństwa.

Krzyk okropny i wrzawa piekielna grózb i obelg, były odpowiedzią.

Wojsko zniżyło broń i zaczęło postępować.

— Wójt! wójt! gdzie jest wójt? zawołał starosta.

Jarema wysunął się naprzód z tłumy.

— To ty, Jarema, ty, na którego ja tak liczyłem! zawołał starosta; ty, któryś tak nam był przychylnym, ty teraz buntownikiem?

— Ja nie buntownik, panie starosto, odparł Jarema, ale ja wójt i plenipotent gromady.

— Patrzenie na mnie! zawołał starosta, wskazując na swój mundur, to tak jakby sam cesarz stał przed wami!

Hrehory, stojący zaraz koło Jaremy, odpowiedział:

— Darujcie pane, nam Jarema kazaw, szczo cisar choczet nam daty lisy i pasowyska, a wy pane, ne choczete nam daty. Wy trzymajete z dworom!

Na taką odpowiedź dano wojsku rozkaz do ataku.

— Uciekaj! krzyknął do Jaremy komendant, bo każę strzelać!

Jarema rozdarł koszulę i obnażył czarne, opalone piersi swoje.

— Strelaj tu, strelaj! krzyknął okropnym głosem.

Dwóch piechotnych żołnierzy wymierzyło bagnety do Jaremy. Jarema przetarł oczy i krzyknął:

— Szymku i Walku! A szczo wy, do wicia choczete strelaty?

— My sem cisarskie zowmiry, my sem ne znajem was! odpowiedzieli.

W tej chwili tętent koni rozległ się od alei lipowej. Huzary z szablą w ręku uderzyli na gromadę.

Powstał okropny krzyk i wrzawa. Jedni wrzeszczeli i odgrzali się, inni uciekali i drugich porywali ze sobą. Konie, woły, krowy i owce tłoczyły się wśród okropnego ryku i powiększały zamieszanie.

Prąd uciekających porwał z sobą Jarema i wyrzucił go na drogę.

Jarema otarł pot z czoła, wznosił w górę pięść zacisniętą i rzekł do Hrehorego:

— Idy do hromady, naj ne wertajutsia do seła! Tu na dorozii naj zdychaje wsia chudoba. Ja pijdu do cisara. Czekaajte, ja wam prynesu pysmo od cisara, szczo nasze sut lisy i pasowyska.

I przeżegnał się trzy razy i przeżegnał drogę przed sobą i zniknął w kurzu, który wydobywał się kłębami z pod kopyt zbliżających się właśnie huzarów.

Epilog.

W kilka tygodni po tej katastrofie, siedział starosta w swoim biurze. Przed nim stał jakiś urzędnik.

— Czy już zupełnie ucichło w Nowejwsi? pytał starosta, czy pieniądze wyekzekwowano za szkody poczynione na polach i lasach dominialnych?

— Napozór ucichło, odparł urzędnik, ale w gromadzie wre i kipi. Nie mogą oni pojąć jak wojsko i starosta mogli przeciw nim wystąpić i czekają na odpowiedź z Wiednia. Połowa bydła wyzdychała, bo pięć dni nie wracali do wsi, tylko stali na gołej drodze.

Starosta zamyślił się, a potem rzekł:

— Trzeba przeciw tym szerczącym się nieporządkom gromad stosowne poczynić kroki....

W tejże samej chwili, prawie z przedpokoju cesarskiego, ujęto zbiegłego Jarema i odprowadzono do więzienia.

Gdy klucznik drzwi od kaźni odmykał, zajrzał mu Jarema w oczy i krzyknął:

— Szymek!

Szymek spokojnie obrócił kluczem i odparł:

— Tak jest, jestem Szymek, o którym cała gromada myśli, żeś go utopił.

— A to tymczasem tyś chciał mnie utopić! krzyknął Jarema... a czemużes nigdy nie okazał się w gromadzie, że żyjesz?

— Miałem do tego powody, aby mniemano żem utopiony, odparł Szymek i zatrzaskał drzwi za Jarema.

— Szelma, pomyślał sobie Jarema, jak każdy zawłoka, co nie należy do gromady.

I leżał na przyczy z najspokojniejszym sumieniem.

Sędzia powiedział mu, że piętnastu jego towarzyszy z Nowejwsi siedzi także w więzieniu i że na kilka lat zakuje ich sąd w kajdany. Ale Jarema z nadzwyczajnym spokojem słuchał tego wszystkiego. Spokojnie spał, jakby najmniejsza na jego sumieniu nie ciążyła wina.

We dworze nowowiejskim zgromadziła się w tym dniu znajoma nam drużyna, a gdy z okna ujrzano spalone budynki i sterpy pomierzwionej pszenicy, wstał pułkownik i rzekł:

— A co? nie mówiłem? Nacóż było jeszcze żonę Jaremy do dworu przyjmować— żonę kryminalisty!!!..

I spojrzął z wyrzutem na proboszcza, którego chciał dzisiaj gwałtem pokonać.

Proboszcz zrozumiał to spojrzenie i smutno popatrzył na wdowę.

Wdowa usmiechnęła się boleśnie i rzekła:

— Co do mnie, nie odstąpię od swoich przedsięwzięć: będę nadal popierała szkołkę i co tylko sił mi starczy, będę świadczyła temu biednemu ludowi....

— Tak, tak! mameczko, zawołali Jadwiga i Władysław, to będzie także program i naszego życia.

Rozjaśniła się twarz proboszcza. Wzniósł ręce do góry i zawołał:

— Dzięki ci Boże, że wzmacniasz serca wiernych Twoich!

A zwróciwszy się do zgromadzonych, mówił dalej:

— Jest to balsamem dla mego serca, co w tej chwili usłyszałem z ust waszych. Nie miejcie za złe temu biednemu ludowi jego przewinień bezwiednych. Nie przestanę zbierać u was dla niego miłości i światła!

Milezenie głębokie nastąpiło po tych słowach proboszcza, bo wszyscy uczyli łyzy w oczach. Pułkownik podparł ręką głowę, tak iż oczu jego nie widziano, i głęboko zamyślił się.

KONIEC.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

26 czerwca.

Wzięcie Puebli, pomimo najzaciętszego oporu założyciela bohaterkich wysiłeni generala Ortegi, podniosło wprawdzie urok oręza francuzkiego w Meksyku, ale nie zakończyło sprawy. Z urzędowych raportów wojskowych dowiadujemy się, że armia ekspedycyjna posunęła się już o sześć mil za Pueblę w kierunku wąwozów, których obrona, w razie niezajęcia warownych punktów, mogłaby się stać wielce dla Francuzów szkodliwą. Ale nawet zdobycie samego Meksyku nie będzie ostatecznym czynem tej wyprawy, dzienniki bowiem francuzkie zapewniają, że prezydent Juarez, dowiedziawszy się o wzięciu Puebli, opuścił Meksyk i przeniósł siedzisko rządu w głąb kraju, bo aż do San Lui de Potosi. Pokazuje się więc że rząd meksykański ani myśli o układach. W takim stanie rzeczy z trudnością przychodzi wydanie jakiegokolwiek sądu o dalszym przebiegu tej zakłananej sprawy. Los wojny, a przedewszystkiem ostateczna postawa ludności w obec chorągwi francuzkiej powiewającej na bramach stolicy, stanowić tu będzie głównie o pokoju i dalszych losach rządu Juareza. Tymczasem rząd francuzki wysłać ma do Meksyku wysokiego pełnomocnika z całkowitym sztabem inżynierów i urzędników cywilnych, dla gruntownego zbadania, co i w jaki sposób urządzonem być ma w przyszłości, celem zadowolenia wszystkich stron interesowanych. Nominacya marszałkoska generala Forey dotąd urzędownie ogłoszoną nie była. Mówią że konsul pruski p. de Wagner, w nagrodę usług oddanych rządowi francuzkiemu w Meksyku, otrzymać miał order legii honorowej i stopień barona cesarstwa. Pogłoski o zmianie ministerium nie ustają. Nawet francuzkie dzienniki głośno o zmianach przebąkiwać zaczynają, stawiając na liście dymisyonowanych p. p. Persigny, Hausman, Fould, Baroche i Walewskiego. Jeden z dzienników prowincjonalnych zaprzeczył tym pogłoskom, ale France zgromiła go lekko, dodając że tylko glos Monitora może mieć dostateczną w tym względzie powagę. Okoliczność ta nie jest bez znaczenia. Cesarzowa, w towarzystwie licznego orszaku, udać się ma w podróż do Jerolimy. Epoka tej pielgrzymki dotąd niewiadoma.

Parlament włoski toczył od dni kilku rozprawę nad wewnętrzną i zewnętrzną polityką gabinetu. Głównym przeciwnikiem ministerium okazał się p. Ratazzi, który w namietnej, pełnej osobistych napałów mowie, wyrzucił gabinetowi iż postępuje wbrew wszelkim dążeniom Cavoura, nie wypełniając swych obowiązków ani nawewnątr, ani poza granicami kraju. Odpowiedział na te zarzuty prezes ministrów p. Minghetti, mową, którą izba grzmotem oklasków okryła. Cała ta dyskusya zakończyła się nareszcie w d. 20 b. m., przyczem udzielono gabinetowi pełne wotum zaufania, większością 202 przeciw 52 glosom. Sześciu członków było nieobecnych. Z Rzymu nie ważnego. Na wiadomość o wzięciu Puebli, papież kazał uczcić ten wypadek 24 wystrzałami z dział zamku św. Aniola. Spodziewają się że wyrok wydany w sprawie Faustego, złagodzonym zostanie na dożywnie wygnanie. Siedemnasta rocznica wstąpienia na stolicę papieżką Piusa IX, tudzież uroczystość Bożego Ciała, obchodzono w Rzymie z nadzwyczajną świętnością.

W d. 18 b. m. arcyksiążę Karol Rainer, w zastępstwie cesarza, otworzył posiedzenia austriackiej rady państwa mową, w której wyraził nadzieję, że po zwołaniu sejmku siedmiogrodzkiego, wszystkie prowincje monarchii przedstawione będą w radzie. Posiedzenia izby niższej zagaił przemową prezes izby p. Hasner. Zgromadzenie wyznaczyło komisysą adresową, która już rozpoczęła swe prace. Cesarz Franciszek Józef spotkać się ma z królem pruskim w Karlsbadzie około 30 czerwca. Odwizdiny te wszakże mają być tylko dopełnieniem istniejącego na dworze austriackim zwyczaju, witania osobiście każdego zagranicznego władcy na gruncie cesarstwa. Cesarzowa przebywa w Kissingen, dokąd się udała dla poratowania zdrowia.

(Ind. Bel. Schles. Ztg. Jour. des Deb. France. Constitut.)

Ostatnie depesze. Wiedeń 24 czerwca. Na dzisiejszym posiedzeniu izby panów adres przyjętym został zupełnie podług wniosków komisysy, prawie bez rozpraw. O kwestyi węgierskiej żadnej wzmianki w adresie niema. Książę sasko-koburgski podał się do dymisysy ze stopnia generala w armii pruskiej. P. Bismarck przybył dziś do Karlsbadu.